

Robert M.
Wegner

Opowieści
z meekhańskiego pogranicza

Północ – Południe



Egzemplarz promocyjny
nie do sprzedaży



powergraph

Copyright © 2009 by Robert M. Wegner
Copyright © 2009 by Powergraph
Copyright © 2009 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 022 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 022 834 18 25, 022 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-08-0

Printed in Poland, EU

Wszyscy jesteśmy Meekhańczykami

Gdyby nie ta popijawa, potężny kac i niezgrabność Velergorfa oraz nerwowy muł, nigdy nie odkryliby szpiegów i skończyłoby się tylko na nieprzyjemnym podejrzeniu. Kenneth wieczorem pozwolił ludziom na nieco więcej, niż powinien. W końcu od koszar dzielił ich tylko dzień drogi, jutro mieli nocować we własnych łóżkach i zacząć kilkunastodniowy wypoczynek, wypełniony naprawianiem broni i pancerzy, ćwiczeniami, pucowaniem oporządzenia i innymi nudnymi żołnierskimi rytuałami. Na dodatek do Belenden prowadziła prosta jak z łuku strzełi imperialna droga. Mogli wstać długo po wschodzie słońca i dojść do koszar na kolację.

Wracał z patrolu z połową kompanii, czyli z dwudziestoma ludźmi i kilkoma psami. Reszta odpoczywała w koszarach pułku. To była dziesięciodniowa, spokojna wycieczka po bezpiecznej prowincji, w sam raz, żeby na początku wiosny przypomnieć ludziom, że Górska Straż czuwa. W czasie pokoju pułki działały właśnie w ten sposób, połowa strażni-

ków w terenie, druga w koszarach, żeby dowództwo miało ich pod ręką. Chociaż wysyłanie w teren dwóch dziesiątek wyglądało na kpinę. Od zeszłej jesieni obiecywali mu przynajmniej kolejnych dwudziestu ludzi – wtedy nazwanie Szóstej Kompanii kompanią właśnie nie zakrawałoby na kiepski żart.

W karczmie, dzień drogi od Belenden, dotarła do jednego z żołnierzy wiadomość. Hawen Rycw, najmłodszy z jego ludzi, został ojcem. Z radości przepuścił połowę miesięcznego żołdu, stawiając wszystkim piwo, wino i gorzałkę. Kenneth pozwolił im na picie i zabawę, patrol przebiegał spokojnie, do koszar mieli blisko. Co się mogło stać?

Wychodząc rankiem na podwórze, zderzył się w drzwiach z wysokim, czarnowłosym mężczyzną, owiniętym w wystrzępiony, lawendowy płaszcz. Brzęknęło i na ziemię spadła lira.

— Wybaczcie. — Obcy miał głęboki, melodyjny głos. — To moja wina.

Podniósł instrument lewą ręką, prawą miał zabandażowaną i powieszoną na temblaku.

— Wypadek?

Obcy parsknął kpiąco.

— Nie. Śmiałek, panie poruczniku, mój koń, znaczy się, choć pewnie ma pan rację, że powinienem nazwać go Wypadek. Przez to bydlę muszę wracać za Mały Grzbiet bez żadnego zarobku. Co to za muzyk, który grać nie może?

Kenneth uśmiechnął się, czując niepokojące ukłucie. Płaszcz, hełm i kolczugę zostawił w pokoju, zakładając tylko koszulę i pikowaną kurtkę. Przy pasie miał zwykły sztylet. Z pewnością nie widzieli się wczoraj, więc skąd obcy znał jego stopień?

— Gdzie to was spotkało?

— Na drodze między Lorst a Czawer. Niedźwiedź zszedł z gór, a mój koń uznał, że jeździec będzie mu przeszkadzać w ucieczce, więc mnie zrzucił, choć do bestii było ponad sto

kroków. Jak widać, taki z niego Śmiałek, jak ze mnie kapłan Pani. Musiałem zawrócić.

Kenneth przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z karczmarzem. Gospodarz coś wspomniał o wędrownym muzyku w towarzystwie pachółka.

— A uczeń?

— Uczniem to on będzie za rok albo za dwa. Na razie tobołki nosi, obóz pomaga rozbijać, no i towarzystwo zapewnia, bo w górach człowiek nogę złamie na szlaku i z głodu zdechnie.

Ruszyli w stronę stajni. Oficer wciąż uśmiechając się, uprzejmie zajął miejsce po prawej stronie nieznanego.

— Racja, panie...

— Wybaczcie. Mistrz Enwar z Werh.

— Idziecie za góry? Przez Belenden? A potem? Na szczyt Przejścia Dwóch, przez Łysicę i w dół? Nie zdążycie przed nocą.

— Nie mam zamiaru. — Muzyk uśmiechnął się lekko. — Dobrze będzie, jak uda nam się dotrzeć na szczyt, a tam przenocujemy w strażnicy. I tak za późno wstaliśmy. Gdybym się nie spieszył, poprosiłbym was o towarzystwo, ale chcę zejść z gór jutro w południe, więc muszę wyruszyć już teraz.

Weszli do stajni. Sześć koni stało w boksach, a dwa wierzchowce i muł były właśnie przygotowywane do drogi. Na górze, na stryszku wypełnionym sianem, wciąż chrapali żołnierze. Kenneth przyszedł tu właśnie zarządzić pobudkę. Trochę zaspali, czekało ich szybkie śniadanie i jeszcze szybszy marsz, jeśli mieli zdążyć przed zmierzchem. Prawie z zazdrością spojrzął na konie muzyka i jego ucznia, osiodłane już i gotowe do drogi. Krępy wyrostek, będący zapewne towarzyszem Enwara, zaczynał właśnie troczyć sakwy na grzbiecie jucznego muła. Na widok mistrza skulił się i przyspieszył.

Z otworu w poddaszu wyjrzał dziesiętnik.

— Już na nogach, panie poruczniku?

— Tak, Varhenn, dola oficera – ostatni idzie spać, pierwszy wstaje i tak dalej. Złaź.

— Już idę, panie poruczniku. Ależ mnie łeb boli...

— O ile dobrze pamiętam, Varhenn, uparliście się, że każdy postawi kolejkę. Tylko psy zwolniono z tego obowiązku.

Dziesiętnik uśmiechnął się boleśnie, usiadł na krawędzi, zsunął się, przez chwilę zawisł na rękach i ciężko zeskoczył na klepisko. Zachwiał się, zaklął, zrobił dwa szybkie kroki naprzód i żeby nie upaść, oparł się lekko o zad muła.

— Ostr...

Muzyk nie zdążył dokończyć. Zwierzę wydało z siebie dziki ryk, jakby nagle poczuło na skórze pazury niedźwiedzia, i stanęło dęba. Chłopak, próbujący załadować mu na grzbiet kolejną sakwę, został kopnięty w pierś. Pakunek rozwiązał się i na wszystkie strony poleciały jakieś rulony, karty i papiery. Kenneth spojrzał. Rysunki gór, miast, wsi, dróg.

— Nie mówiliście, że jesteście malarzem, mistrzu. — Porucznik podszedł do rozsypanych papierów, dając jednocześnie ręką znak Velergorfowi.

Uwaga. Niebezpieczeństwo.

— To nie ja, tylko Mallen, panie poruczniku. Chłopak. Pozwalam mu rysować co chce, bo nie dałby mi spokoju. Chyba będę musiał go oddać na naukę do malarza.

Muzyk, który pozwala uczniowi w terminie marnotrawić czas na rysowanie, zamiast gonić go do brząkania na lutni. Ciekawe. Oficer przykucnął, podniósł jeden z rulonów i go rozwinął.

— Mapy też rysuje? I skąd wiedziałeś, że jestem porucznikiem, skoro nie noszę dystynkcji?

Zgrzytnęło. W chwili, gdy się odwracał, Enwar runął na niego, łopocąc płaszczem. W prawej dłoni, cudownie uwolnionej z temblaka, trzymał sztylet o wąskim ostrzu. Kenneth

rzucił mu w twarz mapę, złapał za rękę i czując, że napastnik przenosi ciężar ciała na przednią nogę, skręcił szybko biodra tak, że kolano, które miało trafić go w krocze, uderzyło w udo. Zabolalo.

Naparł na fałszywego muzyka, odchylił się lekko i uderzył głową w twarz przeciwnika. Mężczyzna zdążył się lekko odchylić i cios nie rozkwaślił mu nosa, tylko trafił w policzek.

— Varhenn!

Świsnęło. Drewniany cebrzyk z wodą do pojenia zwierząt zatoczył krótki łuk i trafił szpiega w potylicę. Było po wszystkim.

* * *

Zbiórka odbyła się w trybie bojowym. W niecałe trzy minuty oddział był pod bronią i w pełnym rynsztunku. Kac nie kac, byli Górską Strażą.

Więźnia rozebrali do przepaski biodrowej i związali. Tak jak Kenneth się domyślał, jego prawa ręka była zdrowa. Za to odzież kryła liczne niespodzianki. Znaleźli cztery sztylety do rzucania, stalową garotę, sześciocalową szpilę z wydrążonym ostrzem i kilka małych buteleczek, wypełnionych bezbarwnymi i bezwonnymi płynami. Osiem wytrychów i mały nożyk, z ostrzem z brązu i miedzianą rękojeścią, cały pokryty piktogramami. Gdy Kenneth wziął go do ręki, miał wrażenie, że broń wibruje. Magia.

Zebrali się na dziedzińcu. Szpieg leżał na wznak, niemal nagi, i nadal nie dawał oznak życia.

Karczmarz podszedł do oficera i uklonił się z szacunkiem.

— Chłopak powinien wyżyć, panie poruczniku. Ma połamane żebra i ze dwa dni będzie nieprzytomny, ale jeśli bogowie pozwolą, wylize się.

— To dobrze.

Pomocnik wyszedł najgorzej z całego zajścia. Choć z drugiej strony, muły wywodzące się z miejscowych zwierząt

znane były z tego, że potrafią kopniędem zabić górskiego lwa. Chłopak i tak miał szczęście. Kenneth postanowił jednak nie ryzykować przenoszenia go w takim stanie do Belenden. Młodziak miał zostać w karczmie, pilnowany przez kilku strażników, a jutro przyślą po niego wóz. Ważniejszego jeńca mieli zabrać od razu.

Dał znak dwójce żołnierzy, od jakiegoś czasu trzymających już wiadra z wodą.

— Nie trzeba. — Związany nagle otworzył oczy. — Po co mam mokry iść.

Strażnicy popatrzyli na dowódcę, ten spokojnie kiwnął głową.

Dwa strumienie lodowatej wody trafiły mężczyznę w pierś. Zaklął paskudnie i próbował poderwać się z ziemi, ale jeden z żołnierzy wcisnął go nogą w błoto.

— To ostrzeżenie. — Kenneth stanął nad szpiegiem i spojrzał mu prosto w oczy. — Nie będziesz więcej udawał nieprzytomnego. Jeśli zrobisz to jeszcze raz, każę połamać ci ręce, tak na wszelki wypadek. Poza tym jak ci będzie zimno, to zaczniesz się szybciej ruszać, a ja chcę być w koszarach przed wieczorem. Teraz cię rozwiążemy, a ty się ubierzesz.

Wskazał na stare portki, słomiane łapcie i brudną koszulę, którą dostali od karczmarza.

— A moje ubranie? — Nawet leżąc w błocie i trzęsąc się z zimna, jeniec potrafił nadać głosowi ton oburzenia.

— Za dużo tam ciekawych drobiazgów, a ja nie jestem pewien, czy wszystkie znaleźliśmy. Dowódca pułku zawiadomi miejscowe Szczury i oni je sobie dokładnie obejrzą.

Agenci imperialnego Wywiadu Wewnętrzznego sami nazywali się Szczurami. Kenneth wprawdzie nie znał żadnego, ale pułkownik Akeres Gewanr, dowódca Szóstego, z pewnością miał z nimi kontakt.

Dał znak, żołnierz zdjął nogę z piersi szpiega i postawił go na nogi. Gdy rozcinano więzy jeńca, w rękach kilku strażni-

ków pojawiły się napięte kusze, ale żołnierze nawet nie zadali sobie trudu, żeby w niego mierzyć. Nie wyglądał na głupca.

Więzień, krzywiąc się i trzęsąc z zimna, założył przyniesione łachmany, po czym ponownie związano mu ręce na plecach.

— Zaraz ruszamy — Kenneth podniósł głos, aby wszyscy go usłyszeli. — Będziemy szli szybkim marszem, więc odlać się i załatwić inne rzeczy teraz. Najbliższy postój po południu.

Nie rozległ się jęk zawodu, wszyscy czuli, że sprawa jest poważna. Wśród kart i zwojów znalezionych przy szpiegu były dokładne mapy nie tylko powszechnie znanych dróg przez góry, lecz także zaznaczono na nich nieoficjalne przejścia, wąskie ścieżki i mało uczęszczane dróżki, z których korzystała głównie Górská Straż i bandyci. Położenie niektórych z tych szlaków było ściśle tajemnicą, bo zwłaszcza w czasie wojny, szybkie i bezpieczne przemieszczanie wojska miało w górach kluczowe znaczenie. Poza tym wśród szkiców były też pejzaże, pokazujące górskie szczyty, wsie, miasta, pojedyncze wieże strażnicze i dokładnie rozrysowane z kilku stron widok na Belenden. Podejścia pod mury miasteczka, umocniony garnizon, brama wjazdowa. Chłopak, jeśli to naprawdę on rysował, miał w dłoniach i oczach prawdziwy majątek. Prawie szkoda, że zgodnie z imperialnym prawem te dłonie zostaną odcięte, a oczy wyłupione.

Konie zostawili na miejscu, zabierając ze sobą tylko muła, obładowanego rzeczami szpiega. Kenneth przywołał Velergorfa.

— Ilu ludzi zostaje?

— Czterech. Dostali rozkazy.

— Dobrze.

Ta czwórka miała pilnować chłopaka. Nie tylko żeby nie uciekł, ale też żeby nie podciął sobie żył. Na przykład.

— Szykować się! — porucznik podniósł głos. — Wymarsz za pięć minut!

* * *

Nie oszczędzali go. Zresztą siebie też nie. Szybki marsz Górskiej Straży oznaczał kwadrans truchtu i kwadrans normalnego marszu. Na zmianę, czasami przez wiele godzin. Dla kogoś przywykłego do podróżowania konno było to mordercze doświadczenie i już po pierwszej godzinie szpieg słańiał się na nogach i rzeził, jakby miał wypluć płuca. Związane z tyłu ręce nie ułatwiały mu biegu.

Nie trzymali specjalnego szyku. Przed szpiegiem i za nim maszerowało po trzech żołnierzy, potem Kenneth z Velergorfem i reszta oddziału. Na końcu włókł się muł, wytrzeszczając przerażone oczy na towarzyszące mu psy.

— Meekhańskie pieski — wychrypiał jeniec, odzywając się po raz pierwszy w połowie drugiej godziny marszu, gdy właśnie przeszli do zwykłego chodu. — Chędożone imperialne pacholki.

Kenneth zignorował go, zajęty poprawianiem oporządzenia. Rzemień, na którym zawiesił nową tarczę, niemiłosiernie wrzynał mu się w ramiona, pas z mieczem obijał o nogi, a hełm ocierał czoło. Zdjął go i starannie poprawił wyścielającą jego wnętrze skórzaną plecionkę.

Podbiegł do niego Hawen.

— Panie poruczniku, mam prośbę.

— Jeśli nie dotyczy kopnięcia pewnego sukinsyna, to słucham.

— Kamień chciałbym znaleźć, dla syna. Na stos przy belendeńskim zejściu.

Kenneth pozwolił sobie na uśmiech, kiedy strażnik przypomniał wieści, które zastały go w karczmie.

— Dziesięciofuntowy? Zamierzasz go nieść aż pod miasto?

— No nie, panie poruczniku, taki normalny, jak pięść.

— Wiem, wiem... Zrobimy postój przy potoku, to poszukasz. Tylko żeby ładny był.

— Będzie jak perła, panie poruczniku! — Hawen zasałutował w marszu i zajął miejsce w kolumnie.

Wtedy po raz pierwszy szpieg się przewrócił.

— Meekhańskie kundle — wysapał z twarzą wciśniętą w ziemię.

Kenneth gestem uniesionej dłoni zatrzymał oddział, lecz zanim zdążył podejść do więźnia, uprzedził go jeden z ludzi z dziesiątki Velergorfa. Cawe Kaln, zwany Wilkiem, uchodził za mruka i milczka, ale nie było lepszego zwiadowcy i tropiciela w całym Szóstym Pułku. Ubrany w lekki, skórzany pancerz i narzucony na wierzch plamisty kaftan zakończony kapturem, zazwyczaj znakomicie wtapiał się w tło. Jego kusza była pomalowana na czarno, a uzupełniała ją para kordów i kilka noży za pasem.

— Będziesz biec razem z nami albo każemy cię przywiązać do ogona muła i powlecemy za nim — żołnierz powiedział to bez specjalnego nacisku. — W garnizonie mamy czarownika – uzdrowiciela, który poskłada twoje resztki do kupy, nawet jeśli przywieziemy mu tylko beznogi zewłok.

Szpieg nie tyle dyszał, ile zasysał powietrze rozpaczliwymi haustami. Góral złapał go za ramię i postawił na nogi.

— Wilk!

— Tak jest, panie poruczniku. — Strażnik stanął na baczność, puszczając jeńca.

— On ma dojść o własnych siłach i w takim stanie, żeby mógł mówić.

— Tak jest! Ale... Panie poruczniku, on mnie obraża.

— Uważasz się za meekhańskiego kundla?

— Nie, panie poruczniku.

— A za kogo?

— Za Meekhańczyka, panie poruczniku.

Kenneth przyjrzał mu się uważnie. Cawe Kaln miał pięć stóp, osiem cali wzrostu, czarne włosy, bladą twarz i jasne oczy. Nie było na nim grama zbędnego tłuszczu. Gdyby ktoś chciał namalować obraz zatytułowany *Góral z krwi i kości*, wybrałby właśnie jego na wzór.

— Naprawdę?

Ta deklaracja była niezwykła. Większość miejscowych lubiła podkreślać swoje wessyrskie korzenie oraz to, że Imperium nie zdołało podbić Północy zbrojnie, lecz przyłączyło ją na drodze dyplomatycznych zabiegów. Co prawda od prawie trzystu lat mieszane małżeństwa i koligacenie rodzin stopniowo wzbogacało lokalną krew o – jak mówiono – smak południa, ale górale nadal potrafili się obrazić, gdy ktoś nieopatrznie nazwał ich Meekhańczykami.

— Naprzód! A ty do mnie. — Porucznik skinął na Wilka.

Pozwolił, by jeniec oddalił się na kilkanaście kroków, i dopiero ruszył.

— Cawe, mamy go doprowadzić do koszar żywego.

— Rozumiem, panie poruczniku.

— I poganiecie więźnia zostaw mnie, w końcu biorę za to żołd. Zrozumiano?

— Tak jest!

— Na miejsce, strażniku.

Wilk oddalił się truchtem.

— Co on się nagle zrobił taki imperialny, Varhenn? Ja to co innego, jeszcze mój dziadek był Meekhańczykiem, nazwisko nie kłamie. Ale Wilk?

Dziesiątnik popatrzył na niego spokojnie, a pokryta niebieskim tatuażem twarz nie wyrażała niczego. Po chwili uśmiechnął się lekko.

— Wie pan, gdzie jesteśmy?

— Głupie pytanie, Varhenn.

— Nie, panie poruczniku, nie pytam o miejsce czy prowincję, tylko o okolicę. Nie służył pan tu przedtem, a ja daw-

no temu, ale pozwolił pan poszukać Hawenowi kamienia dla syna na stos.

— Wszyscy tak robią, jak słyshałem, rodzice każdego nowo narodzonego dziecka kładą kamień na stos liczebny, przy zejściu z Łysicy.

— A dlaczego?

— Miejscowy zwyczaj? Prastara tradycja? Mnie nie pytaj.

— Ta tradycja ma ćwierć wieku, panie poruczniku. Co jest za Łysicą?

— Dolina Wares i szlak na południe, do Kalen.

— Tak, szlak, którym jeżdżą wozy kupieckie do i z Nowego Rewendath. Główna droga łącząca nas z południem Imperium.

— Dolina Wares... Tam Se-kohlandczycy wyróżnili połowę Siedemnastego Pułku Piechoty?

— Nie połowę, ledwo jedną trzecią, panie poruczniku.

— Byłeś tam?

Na mgnienie oka twarz dziesiętnika ściągnęła się dziwnie, skamieniała.

— Tak, byłem. Opowiedzieć?

Kenneth rozejrzał się. Spokój, cisza, do następnego truchtu mieli jeszcze kilka minut. Szpieg był związany i pilnowany, a w okolicy nie było nawet przepaści, w którą mógł się rzucić.

— Mów.

* * *

— Na żelaznego fiuta Reagwira!

Kawer Monel, nazywany Czarnym Kapitanem, stał na szczycie Łysicy i patrzył na południe. Widok był przepiękny. Na niebie nie gościł nawet najmniejszy obłok, słońce wspięło się już spory kawałek nad horyzont i wzrokiem, jeśli ktoś miał wystarczająco bystry, można było sięgnąć pięćdziesiąt mil w przód. Pola, łąki, rybne stawy, dwa szmaragdowe

w tym świetle jeziora, spore połacie lasu, wioski i miasta, połączone siatką dróg. Żyzny, bogaty, ludny teren.

Łysica była forpocztą Małego Grzbietu, łańcucha gór, o które Imperium Meekhańskie oparło się w trakcie swojej zbrojnej ekspansji. Prawdę powiedziawszy, Imperium przekroczyło Mały Grzbiet dopiero wtedy, gdy gospodarczo i politycznie wchłonęło ziemie Ligi Wessyrskiej, czego po serii nieudanych wojen dokonano na drodze trwającego kilkadziesiąt lat koligacenia rodów, mieszania interesów i zacieśniania więzów politycznych. Sprawę ułatwiał fakt, że Wessyrczyki nie wyznawali jednego boga, tylko wychodzili z założenia, że w panteonie jest miejsce dla wszystkich; wojownicze kulty, które przez setki lat tworzyły teokracje w różnych miejscach kontynentu, nie zdołały ich przekonać do swojej wizji prawdy. Religia zatem nie stanowiła problemu. Nadal jednak doliny pomiędzy Małym a Wielkim Grzbietem oraz tereny do pięćdziesięciu mil na południe od Małego Grzbietu, czyli do rzeki Vanawen, uchodziły za ziemie wessyrskie. Jeśli ktoś miałby wystarczająco bystry wzrok, mógłby ze szczytu Łysicy dostrzec rzekę – szarą wstęgę na horyzoncie.

Góra miała niemal milę wysokości i wyglądała, jakby ktoś kiedyś wziął potężny młot i dla zabawy z całej siły przygrzmocił w jej zbocze. Tak powstała dolina Wares, która formalnie doliną nie była, owalna niecka o średnicy ponad ćwierć mili, obejmowana z dwóch stron przez skaliste ramiona i zamykana prawie pionową ścianą samej Łysicy. Wejście do tej niby-doliny miało ledwo pięćdziesiąt jardów szerokości. Prowadził tędy imperialny szlak, kamienna droga szeroka na dwa wozy. Nazywano ją Furtką Północy, bo było to jedyne miejsce w promieniu prawie stu mil, gdzie wozy kupieckie mogły przekroczyć Mały Grzbiet.

Jednak choć szlak wiodący na szczyt Łysicy prowadził wąską drogą, wyciętą w diabelnie stromej ścianie góry, to

budujący ją imperialni inżynierowie zasłużyli na wszelkie honory i zaszczyty, jakimi ludzka pamięć i wdzięczność mogła ich obdarować. Trakt wspinał się zakosami, miał osiemnaście zakrętów i łączną długość prawie siedmiu mil. Wóz kupiecki, ciągnięty przez czwórkę silnych koni, wspinał się na szczyt cały dzień. Ale i tak mógł się dostać do Nowego Rewendath kilkakrotnie szybciej, niż gdyby miał jechać sto mil na wschód, aby skorzystać z Wielkiej Bramy.

Tylko że teraz wóz kupiecki wspinałby się na Łysicę przez trzy dni. Albo dłużej.

— Jak stado baranów. — Kapitan splunął na ziemię, nie wiadomo – zniesmaczony widokiem, czy po prostu chcąc się pozbyć żółci zalegającej w ustach.

Młody strażnik poruszył grdyką. Sam chętnie by splunął, pozbył się kuli gęstej, lepkiej flegmy podchodzącej pod gardło, ale nie wypadało. Oficerowi przysługuje zazwyczaj dużo więcej. Lepszy żołd, lepsze kwatery, lepsze porcje ze wspólnego kotła. Prawo plucia, kiedy się zechce.

Teraz jednak nie zamieniłby się ze swoim kapitanem za wszystkie te niewątpliwe przywileje.

— Ty masz być moim gońcem? Jak cię zwać?

— Varhenn, panie kapitanie.

Czarny Kapitan oderwał wzrok od doliny i przyjrzał mu się uważnie.

— Bergeńczyk, co? — Zawiesił wzrok na plemiennych tutażach, pokrywających policzki, czoło i grzbiety dłoni młodego strażnika.

— Z ojca i matki.

— Ile masz lat?

— Siedemnaście, panie kapitanie.

— A ja jestem cesarskim zięciem. Ile, pytam!

— Piętnaście.

— No, tak lepiej. Umiesz się tym posługiwać? — Szturchnęła palcem ciężki topór, zatknięty za pasem młodzika.

— Od dziecka, panie kapitanie.

— To dobrze, przyda ci się. Co o tym sądzisz? — Oficer wskazał na dolinę.

Strażnik spojrział w dół. Z tej wysokości jej dno wyglądało jak falujące morze. Ludzie, zwierzęta, wozy, wszystko przemieszane i splątane w wielki kobierzec. W przewężeniu wlewały się kolejne grupy szukających ratunku uchodźców. Imperialna droga była zapchana ludźmi, wozami, przeganianymi stadami. Nawet tu, stojąc na szczycie, słyszał ten tłum. Zmieszane głosy ludzi i zwierząt tworzyły groźne, mroczne tło. Panika, to słowo podjeżdżało mu palącą kulą do gardła. Jedno słowo, jeden okrzyk o najeźdźcach, a cała ta masa runie w stronę drogi prowadzącej na Łysicę i zacznie się deptać, dusić i umierać. Najpierw starcy, kobiety i dzieci, a później reszta. Jedno słowo zabije więcej ludzi niż nacierająca armia.

Nie wiedział, co powiedzieć.

— Też tak sędzę. — Kapitan stanął w rozkroku, wsadził ręce za pas, poczerniona kolczuga, którą zazwyczaj nosił na czarnym, skórzanym pancerzu, brzęknęła głucho. — Se-kohlandczycy zapędzają ich tu jak ryby w sak. A jutro, najdalej pojutrze, zjawią się, żeby wybrać co lepsze kąski.

To akurat wiedzieli wszyscy. Imperium od trzech lat chwiała się pod ciosami armii koczowników. Plonem tej wojny było na razie pięć przegranych wielkich bitew i niezliczona ilość potyczek i starć, które zniszczyły mit o niezwycięzonej meekhańskiej piechocie. Koczownicy nie byli jakąś bandą, której udało się wdrzeć na terytorium Imperium, tylko stutysięczną, zaprawioną w bojach armią konną, świetnie dowodzoną i umiejącą wykorzystać swoją przewagę. Poruszali się dwa razy szybciej niż korzystające z sieci imperialnych dróg meekhańskie pułki, unikali bitew, jeśli nie mieli przynajmniej dwukrotnej przewagi liczebnej, uderzali tam, gdzie byli pewni zwycięstwa. Koczowniczą armię tworzyło

pięć wielkich, dwudziestotysięcznych zagonów, a ich bojowe a'keery, liczące od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu koni, potrafiły pojawić się niemal w każdym miejscu na północ od Gór Krzemienych. Rabowały, paliły, mordowały i plądrowały wszystko, co stało im na drodze. Centralne prowincje Imperium od prawie trzystu lat cieszyły się pokojem. Wioski, miasteczka, nawet spore miasta nie miały murów i były niczym otwarte ule dla roju wściekle głodnych szerszeni.

Przed dziesięcioma dniami przyszła wieść, że dwa z tych zagonów skręciły na północny zachód, przekroczyły rzekę i wtargnęły do podgórszych prowincji. Trzydzieści, czterdzieści tysięcy najeźdźców bez trudu rozbiło dwa imperialne pułki, liczące razem nie więcej niż pięć tysięcy ludzi. I zaczęło plądrować. Obaj strażnicy wiedzieli, że jeszcze wczoraj niebo szpeciły dymy z płonących wiosek i miast. Dziś horyzont był pusty, co tylko wzmagało poczucie zagrożenia. Nie wiedzieć, gdzie znajduje się wróg, to sto razy gorzej, niż mieć go tuż przed oczami.

Tylko że Se-kohlandczycy nie musieli się teraz spieszyć. Kapitan Monel miał rację, dolina Wares była sakiem, do którego mieszkańcy prowincji dali się zapędzić jak bezrozumne zwierzęta. Dziesiątki tysięcy ludzi pchały się tu, z wozami załadowanymi dorobkiem całego życia, jakby nie pamiętały, że droga na szczyt nawet zwykłemu piechurowi zajmuje pół dnia. Wóz wjeżdżał cały dzień, pod warunkiem że zaprzęgnięto do niego silne, zdrowe zwierzęta i nie był obładowany ponad miarę. A teraz na górę pchały się pokraczne, ciężkie wiejskie wehikuły, wypełnione do granic możliwości wszelkim dobytkiem i ciągnięte przez jedną, czasem dwie, wychudzone i osłabione po kilkudniowej ucieczce szkapy. Początek ludzkiego węża, wspinającego się na Łysicę, znajdował się ledwo w jednej trzeciej szlaku. Varhenn wiedział,

że nie ma szans, by przed nocą miał dotrzeć na szczyt. Dolina okazała się śmiertelną pułapką.

Kapitan westchnął i znów splunął przed siebie.

— Idź do porucznika Kawacra i powiedz, żeby ze swoją kompanią zaczął schodzić w dół szlaku. Wszystkie wozy mają zepchnąć z drogi, zwierzęta mogą zostać, ale pod warunkiem, że nie opóźniają marszu. Jak któreś zwalnia, zarznąć i na bok. Na każdym zakręcie niech postawi po dwóch, trzech ludzi, żeby kontrolowali sytuację i poganiali tłum. Żadnych przestojów. Jeśli ktoś nie daje rady, ma ustąpić innym. Resztę strażników niech zostawi tutaj, mają spychać ludzi na drugą stronę, żadnego zatrzymywania się na górze, bo zakorkują nam szczyt. I niech ich liczy. Chcę wiedzieć, ilu przejdzie za Mały Grzbiet. Ja z resztą kompanii zejdę bokiem, najpierw Trzecia i Ósma, na końcu moja. Biegnij!

Młody strażnik skinął głową, zasalutował i pomknął w stronę niewielkiej wieży, gdzie czekała reszta oddziału. Czarny Kapitan przyprowadził na Łysicę cztery kompanie, Pierwszą, Trzecią, Ósmą i Dziesiątą z Czwartego Pułku Górskiej Straży. Łącznie niespełna czterystu ludzi. Rozkazy dostali ledwo pięć dni temu, co świadczyło o tym, że system łączności, zwykłej i magicznej, mocno już szwankował. Sekkohlandzkim zagonom towarzyszyli najczęściej potężni plemienni szamani, zwani żrebiarzami, którzy z wściekłym uporem polowali na imperialnych czarodziejów. Zwłaszcza tych służących w wojsku. W ten sposób powoli wrywano armii kły, oślepiano ją i ogłuszano. Sieć konnych gońców już dawno została poszarpana przez lotne a'keery. Koczownicy przejęli inicjatywę i Imperium powoli przegrywało tę wojnę.

Porucznik Dewen Kawacr, dowodzący Pierwszą Kompanią, bez słowa wysłuchał rozkazów i ruszył ze swoimi ludźmi w stronę podejścia. Przypadło mu najniewdzięczniejsze zadanie. Ale jeśli ktokolwiek miał wyjść z życiem z pułapki, jaką stała się dolina, szlak musiał zostać udrożniony. Piechur

wchodził na górę dwa razy szybciej niż wjeżdżał wóz i ta prawda narzucała im metodę działania, bo Górska Straż miała chronić przede wszystkim ludzi.

Varhenn przekazał pozostałym dwóm porucznikom rozkaz przygotowania się do zejścia. Mieli ześlizgnąć się na dno doliny, wykorzystując liny, haki i czekany. Straż umiała wspinać się i schodzić po niemal pionowych ścianach, więc nie powinno im to zająć więcej niż dwie godziny. Gdy ruszał z powrotem do kapitana, Trzecia Kompania właśnie zaczęła się szykować do wykonania rozkazu. W dół poleciały zwoje lin i pierwsi strażnicy znikli za skalnym występem. Powinni być na dole szybciej, niż Pierwsza dotrze do czoła wspinającego się mozolnie w górę ludzkiego węża.

Zastał kapitana stojącego w tym samym miejscu i wpatrującego się w horyzont. Na południowym wschodzie pojawiła się wstęga czarnego dymu, szybko pnąca się w górę. Gdy oficer go zauważył, zaczął mówić.

— Abereh. Mała wioska. Dwadzieścia pięć mil stąd. Dwie, trzy godziny trochę szybszym kłusem. Ale po drodze są stawy rybne, z tymi piekielnie wąskimi groblami, rzeczka i las. Gdyby ktokolwiek tam na dole miał łeb na karku, można by urządzić piękną zasadzkę. Mówią, że nie ma to jak konnica na grobli i pięćdziesięciu zdecydowanych ludzi z dobrymi kuszami w rękach.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Ty mi tu nie takjestuj, chłopcze. Ilu tam na dole jest ludzi? Jak sądzisz?

Młody strażnik spojrział na zatłoczoną dolinę.

— Dwadzieścia tysięcy?

— Nie chłopcze, co najmniej trzydzieści. Może więcej. Są tu mieszkańcy Maawah, Lawerdonu, Starego Opann i Kales. I z wszystkich okolicznych wiosek. A drugie tyle jest w drodze i będzie docierać cały dzisiejszy dzień i noc. Rankiem będzie tutaj sześćdziesiąt tysięcy dusz, połowa provin-

cji upchnięta na jednej piątej mili kwadratowej. Nie licząc bydła, owiec, kóz i świń. Wiesz, co to znaczy?

— Że będą długo wchodzić na górę?

Kapitan zawiesił na chłopcu przenikliwe spojrzenie. Bardzo długo wpatrywał się w jego twarz, jakby szukał śladu drwiny.

— To też, chłopcze. Ale to znaczy, i już mogę ci to powiedzieć, że nikt nie został, żeby walczyć. Ten teren to nie najlepsze miejsce dla konnicy. Pola poprzedzielane lasami, stawami i kanałami, wąskie drogi, śliskie groble, dwa duże jeziora. A wszyscy dają się zapędzać w pułapkę jak bydło prowadzone na rzeź. To podobno też są Wessyrczy, tak jak ty czy ja, ale trzysta lat meekhańskiego panowania zrobiło z nich południowców. Stali się Meekhańczykami, miękkimi i tchórzliwymi. Przyzwyczajonymi, że to inni nadstawiają za nich karku. Patrz, jak uciekają... — Splunął ponownie, tym razem z nieukrywaną już pogardą. — Trzysta lat temu ani jeden jeździec z tego zagonu nie wróciłby na wschód. Każdą wioskę musieliby zdobywać dom po domu, każdy krok do przodu okupywać krwią. Dziś koczownicy przyszli jak myśliwi polujący na zające w zagrodzie. Zwierzyna nawet nie próbuje mądrze uciekać.

Odwrócił się plecami do doliny.

— Idziemy na dół. Trzymaj się mnie.

Zjazd odbywał się szybko i sprawnie. Z kawałka liny montowało się prostą, lecz niezawodną uprząż, przez którą przeplatano linę główną. Zjeżdżało się skokami, odbijając stopami od skalnej ściany. Dobrze wyszkoleni strażnicy mogli opuścić się na dno kilkusetstopowej przepaści w kilkanaście minut. Na szczęście w tym przypadku tylko na początku musieli korzystać z lin i uprzęży. Do przebycia mieli około trzystu stóp pionowej skały, następne tysiąc pięćset pokonywali już ostrożnie, schodząc pomiędzy gęsto rosnącymi drzewami. Las, porastający stoki obejmujące dolinę, składał

się głównie z lubiących stromizny miejscowych sosen, które potrafiły wcisnąć korzenie w najmniejszą skalną szczelinę, czepiając się gruntu jak chciwiec ostatniego miedziaka. Ale i tak istniało spore prawdopodobieństwo, że człowiek, który się tam potknie, będzie spadał na łeb, na szyję, dopóki nie połamie wszystkich kości. Dlatego schodzili w kilkuosobowych grupach, powiązani ze sobą, asekurując się na każdym kroku.

Na dół dotarli w chwili, gdy ponad nimi na szlaku zaczął rozgrywać się pierwszy z prywatnych dramatów. Wszystko było widać o wiele lepiej, niżby sobie mogli tego życzyć, nawet z tej odległości: zamieszanie, szarpaninę, razy wymierzane przez żołnierzy. A potem jeden z wozów, sunący mozolnie na czele grupy uciekinierów, został brutalnie i bezwzględnie zepchnięty w dół. Dwie trzecie wyciętej w górze trasy przebiegało w lesie, a idąca zakosami droga oddzielona była pasmami drzew. Wóz nie spadł więc na głowy idących poniżej ludzi, tylko uderzył o pień drzewa, przełamując się wpół. Będąc już na dole, widzieli wyraźnie wysypujące się z niego toboły, kufry, skrzynie, jakieś paki. Po chwili wiatr przywiał nawet kobiece zawołanie, gdy właścicielka wozu zaczęła opłakiwać swój majątek.

I może właśnie dlatego, że wszyscy patrzyli w stronę szczytu, ich przybycie z początku nie zwróciło niczyjej uwagi.

* * *

— Panie poruczniku, już czas.

Kenneth rozejrzał się, jakby uwolniony z czaru. Varhenn umiał opowiadać jak nikt w kompanii. W długie zimowe wieczory, gdy śnieżyce odcinały koszary od świata, potrafił snuć historie, które kradły ludziom czas na sen i kończyły się wraz z bladym świtem. Ale jakoś nikt nigdy nie narzekał. A prawdziwe mistrzostwo pokazywał, gdy opowiadał o rze-

czach, w których sam brał udział. Coś w jego głosie, w sposobie gestykulacji, w oczach działało wtedy jak magnes. Porucznik rzucił okiem na prawo i lewo. Kilku strażników zbliżyło się do niego i Velergorfa, nadstawiając ucha. Szyk zaczął się łamać i wyglądało na to, że wszystkim dobrze zrobi mała przebieżka.

— Dobrze. Strażnicy, bieg. Na raz, dwa, trzy!

Ruszyli.

Kwadrans truchtu po równej, kamiennej drodze, to dla żołnierzy Górskiej Straży właściwie odpoczynek. Po kilkunastu krokach nogi same łapią rytm, oddech się wyrównuje, ręce zaczynają pracować, pomagając pompować powietrze do płuc. Kenneth też już czuł, że tarcza przestaje mu ciążyć, a hełm nie ociera czoła. Gdy trzeba było przenieść po górskich ścieżkach pilną wiadomość lub szybko dotrzeć do miejsca, gdzie widziano jakąś podejrzaną bandę, żołnierze potrafili biec w tym tempie pół dnia. Z powodu szybkości przemieszczania niektórzy nazywali ich czasem górską kawalerią.

Dla szpiega jednak taki bieg mógł się okazać zadaniem ponad siły. Dlatego gdy znów raz i drugi się potknął, Kenneth uniósł rękę, nakazując powrót do zwykłego marszu. Podszedł z dziesiętnikiem do jeńca.

Fałszywy muzyk dyszał ciężko, zgięty wpół, brudne ubranie śmierdziało starym potem, włosy lepiły się do czaszki. W niczym nie przypominał eleganckiego, pewnego siebie mężczyzny, z którym Kenneth zderzył się w drzwiach dziś rano.

Porucznik wyprostował go szorstko i przyłożył manierkę do ust.

— Pij — rozkazał. — Jeśli się odwodnisz, naprawdę będę musiał cię przywiązać za ogonem muła.

Więzień rzucił mu spojrzenie, które miało być pogardliwe, ale trudno o takie, gdy dyszy się, łapiąc każdy haust, jak-

by miał być ostatnim, a na dodatek ktoś wlewa ci wodę w usta. Zakrztusił się, rozkaszał.

Porucznik spokojnie odsunął naczynie.

— To był niezły pomysł z tą ręką, wiesz? Mogłeś podróżować po całej prowincji albo jako ranny szukający uzdrowiciela, albo jako muzykant, który wraca za Mały Grzbiet, żeby się wykurować. Każdy kierunek był dobry i każdy dał się wytłumaczyć, prawda? I do tego ten uczeń, który na postojach coś tam sobie rysuje. Ale założę się, że najważniejsze rzeczy ukrywasz w głowie, mam rację?

Szpieg przestał kaszleć i wlepił w niego wzrok. Tym razem prawie mu się udało wyglądać dumnie i szlachetnie.

Milczał.

— Pij. — Kenneth ponownie przyłożył mu manierkę do ust.

Więzień pociągnął kilka długich łyków, po czym potrząsnął głową.

— Dobrze. Nie chcesz, to nie. Za dwie godziny zrobimy postój, tam dostaniesz coś do jedzenia i znów się napijesz.

— Czyj on może być, panie poruczniku? — Dziesiętnik przyglądał się szpiegowi, krzywiąc wytatuowaną twarz. — Wynderski? Hazerski?

— Nie wiem. Ale już Szczury to z niego wyciągną. Znają się na swojej robocie. Powiedziałbym, że jest z Wynde'kann. Róg mamy zaraz za wschodnią granicą, a ci od lat myślą, jakby go tu odłamać. Co, przyjacielu?

Spojrzenie nie zmieniło się nawet na jotę. Oficer uśmiechnął się chłodno.

— Dobra, Varhenn, dość tych pogaduszek, idziemy dalej, a ty opowiadaj.

— A gdzie skończyłem? A, wiem, zjechaliśmy w trzy kompanie i patrzyliśmy, jak ludzie porucznika Kawacra udrażniają szlak. Potem zaczęliśmy robić porządek. Jedna kompania poszła w stronę wejścia do doliny zatrzymywać

wozy i zwierzęta. Od tej pory tylko ludzie mieli prawo wejść do środka. Druga pomaszrowała na początek drogi na górę. To samo – wozy i zwierzęta na bok, każdy wchodzi na szczyt o własnych siłach. A kapitan tymczasem próbował dogadać się z jedynym czarodziejem, jakiego spotkaliśmy w dolinie.

* * *

Gdy już zauważono pojawienie się strażników, władcym krokiem podszedł do nich mężczyzna w niebieskich aksamitach.

— Wy kto? — Miał głęboki i spokojny głos. Podziwu godne jak na kogoś, kto właśnie stanął przed trzema setkami uzbrojonych po zęby żołnierzy o bandyckim wyglądzie.

— Górską Straż. — Kawer Monel niedbale zaprezentował płaszcz z naszytym z przodu numerem pułku. — A ty kto?

— Mistrz Baren-kla-Werdonell. Czarodziej. W tej chwili pełniący funkcję burmistrza Maawah. Poprzedni burmistrz sobie nie poradził. — Mężczyzna wskazał ręką gdzieś za siebie. — Co się tam dzieje?

Nie musiał mówić gdzie. Wiatr wciąż przynosił na dół wyście kobiety. Jęki i zawodzenia ludzi zgromadzonych w dolinie przybierały na sile.

— Udrażniamy drogę. W tym tempie nawet dziesiąta część uciekinierów nie zdąży wejść na Łysicę zanim przybędą koczownicy.

— Jakim prawem?

Kapitan uśmiechnął się chłodno.

— Cesarskim. To my odpowiadamy za górskie szlaki, a ta droga jest jednym z nich. Na szczyt będą wchodzić tylko piesi, wozy i zwierzęta opóźniają marsz. To nie podlega dyskusji.

Mężczyzna milczał chwilę, po czym odwzajemnił uśmiech, równie zimny i beznamiętny.

— Dzięki bogom, nareszcie ktoś mający łeb na karku.
— Są tu jeszcze jacyś inni czarodzieje?
— Był mistrz Wanel. Władał czarami w aspekcie Chmury i Promienia — wyjaśnił czarodziej. — Ścieżka Światła, jak powiadają. Pozwala podróżować szybko, na duże odległości. Zniknął przed godziną, razem z kilkoma najbogatszymi kupcami. Zabrał tyle osób, że mógł dotrzeć na miejsce z móżgiem ugotowanym na twardo. Ale to jego wybór.

— A wy, mistrzu. Jaki aspekt?

— Chcecie wiedzieć, czy się na coś przydam? — Barenkla-Werdonell uśmiechnął się samymi wargami. — Nie, nie sądzę. Nie jestem jednym z uznanych arcymagów. Proste czary ze Ścieżki Powietrza, aspektowane przez Podmucha i Gniazdo. Przepowiadam pogodę, ostrzegam przed zbliżającymi się burzami. Jeśli mam dobry dzień, mogę rozgonić gradowe chmury albo przynajmniej opóźnić nawałnicę. W mieście nie zarobiłbym na chleb, ale na wsi jestem uznanym i cenionym członkiem lokalnej społeczności.

— Inni czarodzieje? — Oficer machnął ręką w stronę tłumu.

— Nie, nie ma. Oprócz Wanela w okolicy był jeszcze tylko stary Galech, ale zmarł w zeszłym roku i jeszcze nikt nie pojawił się na jego miejsce. Większość uzdolnionych ciągnie raczej do dużych miast, do bogatych gildii. Żeby tu się osiedlić, trzeba albo lubić życie na wsi, albo nie mieć wyboru, bo aspekt, którym się włada, w innym miejscu nie na wiele się zdaje. — Czarodziej wzruszył ramionami. — Jest oczywiście trochę wiejskich zaklinaczy i znachorek, niektórzy władają szczałkową Mocą, ale nie sądzę, żeby się przydali. W zagonie, który się do nas zbliża... Nawet z tej odległości wyczuwam zawirowania, zniekształcenia... Trudno to wyjaśnić komuś, kto sam nie jest uzdolniony. Tam jest przynajmniej dziesięciu źrebiarzy.

Kapitan skinął głową.

— Potraficie wyczuć ich czarowników? Określić odległość?

— Nie muszę. Władam Ścieżką Powietrza, a powietrze przenosi dźwięk. Słyszę ich. — Zamknął oczy. — Najbliższy a'keer jest dwadzieścia mil stąd, około stu koni. Podjazd. Idą ostrożnie groblą między dwoma stawami, część zatrzymała się i poi konie. Pewnie wkrótce ruszą dalej. Ale na pewno nie przybędą tu przed jutrem, chyba że zaryzykują podróż nocą. A i tak nie zdążą przed żołnierzami.

— Żołnierze? Jesteś pewny, mistrzu?

— Miarowy, rytmiczny krok kilkuset ludzi, bęben w tle, pobrzękiwanie żelaza. Oddział wojska, trzy, może cztery kompanie. Wozy. Nie wiem ile. Są dziesięć mil na wschód od nas, idą drogą z Garens, wzdłuż gór. Zbliżają się. Tyle wiem.

Varhenn chrząknął.

— W Garens są koszary Siedemnastego Pułku, panie kapitanie.

— Podobno Siedemnasty został rozbity.

— Wiem. Razem z Dwudziestym Trzecim. Ale... Garens jest wysunięte najdalej na północ. Może po prostu nie wzięli udziału w bitwie.

— Zobaczymy. — Uśmiech kapitana wyglądał jak szczeli-na na lodowcu. — Chętnie spotkam się z oficerem, który prowadzi swoich ludzi jak najdalej od wroga.

* * *

Bieg się skończył. Kenneth poprawił tarczę, podciągnął pas z mieczem. Byli prawie w połowie drogi, jeszcze dwa cykle i zarządzi dłuższy odpoczynek. Trzeba będzie coś zjeść i się napić. Poza tym szpieg wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Tym razem marsz potrwa dłużej.

— Pół godziny marszu — zarządził. — Czarny naprawdę był takim sukinsynem?

Velergorf uśmiechnął się szeroko.

— Większym, tylko moje wspomnienia jak zwykle przekłamują prawdę. Pamiętam, jak raz kazał Trzeciej Kompanii całą noc biegać wokół koszar, bo trzech żołnierzy spóźniło się, wracając z przepustki. Nic wielkiego, kompania i tak siedziała na zimowisku, a chłopcy poszli na wesele do rodziny i trochę zapili. Ale... każdy z nas dałby się za niego pokroić na kawałki.

— Ciekaw jestem dlaczego?

— Nigdy nie wydał rozkazu, którego nie można było wykonać, i nigdy nie wysyłał ludzi na śmierć, żeby powiększyć swoją własną chwałę. Tyle wiedzieliśmy na pewno. Nigdy też nie żądał płaszczenia się przed sobą, bo on jest oficerem i szlachcicem. I zawsze wykonywał rozkazy...

* * *

— Nie. To niemożliwe.

Varhenn przesunął się nieco w bok, żeby mieć wolną rękę i móc szybko wyciągnąć broń. Sytuacja robiła się nieciekawa.

Cały dzień trwały porządki na szlaku. W końcu udało im się osiągnąć jakieś sensowne tempo. Żołnierze oczyścili już drogę ze wszystkich wozów i czoło kolumny uchodźców osiągnęło właśnie szczyt Łysicy. Na dole wszystkie pojazdy odprowadzano na bok, zwierzęta wyprzęgano i spędzano w wielkie stado. Wkrótce miała rozpocząć się ich rzeź, bo kapitan nie zamierzał zostawić najeźdźcom ani jednego konia, krowy, owcy czy kozy. To, czego uciekinierzy nie zdołają wnieść na górę, zostanie spalone. Dolina zamieni się w cmentarzysko, a koczownicy zdobędą tylko popioły i truchła tysięcy zwierząt. Nic ich tu nie odzijeje, nie uzbroi ani nie wykarmi. Takie były rozkazy i Czarny Kapitan wypełni je, co do joty.

Chyba że za chwilę umrze.

— Ja też mam swoje rozkazy, kapitanie. — Oficer piechoty poprawił płaszcz, delikatnie dotknął zielono-czarnej lamówki. — I nie muszę chyba mówić, że przywykłem je wykonywać...

Varhenn oderwał wzrok od wzoru obszywanego niebieski płaszcz piechura. Młodszy pułkownik, mówiły dystynkcje. Dziesiątnikom przysługiwał brąz, porucznikom czerwień, kapitanom żółć, pułkownikom zieleń, generałom błękit. Dodatek czerni oznaczał szarżę o pół stopnia niższą, bieli o pół stopnia wyższą. Z tego wszystkiego najważniejsze było jednak to, że ten zielono-czarny wzór miał większą władzę niż brudna żółć z dodatkiem bieli, obszywająca płaszcz kapitana.

Pułkownik zerknął przez ramię i wykonał kilka gestów. Zaczęło robić się gorąco.

Żołnierze przybyli późnym popołudniem, dwie kompanie ciężkiej piechoty, kompania kuszników i kompania artylerii, ciągnąca na wozach tuzin skorpionów i cztery onagery. Varhenn i kapitan patrzyli, jak nadchodzą, ośmiuset zakurzonych, snujących się noga za nogą ludzi, za nimi dwadzieścia wozów z machinami i amunicją. Ciężka piechota, duma Imperium, teraz wyglądała jak zgraja duchów, szare tarcze, szare pancerze, szare twarze z oczami przygaszonymi zmęczeniem i poczuciem klęski. Po raz pierwszy od lat żołnierze musieli się zmierzyć z przeciwnikiem, z którym nie potrafili wygrać. Koczownicy nie stawali do walki twarzą w twarz, nie rzucali się do szaleńczych szarż, które można było odeprzeć murem pawęży i gradem oszczepów. Nawet w góry docierały opowieści o starciach, w których najeźdźcy szaleli po polu bitwy na śmigłych koniach, zasypując szeregi mekhańskiej piechoty taką ilością strzał, że żołnierzom mdały ręce od ciężaru tarcz, w których utkwily setki pocisków. Na pięćdziesiąt kroków, w pełnym galopie se-kohlandzki jeździec potrafił trafić w twarz wychyloną na sekundę znad

osłony. To łamało morale skuteczniej niż setki przegranych bitew. Gdy mogłeś tylko stać w miejscu i kulić się za tarczą, czując jak jej ciężar rośnie, nawet najlepsi z najlepszych upadali na duchu.

Oddziały pikinierów, tak skuteczne w innych wojnach, były po prostu rozstrzeliwane, aż wreszcie ograniczono ich liczbę do jednej kompanii na pułk. Starano się także zwiększyć liczbę łuczników i kuszników w każdym regimencie, ale wszystkie te zmiany wprowadzano zbyt późno. Dobrego strzelca szkoli się latami, a lat Imperium nie miało. Niektórzy sądzili, że Meekhanowi zostały już tylko miesiące, że najpewniej jeśli nie w tym roku, to w przyszłym będzie zmuszony oddać połowę terytorium, wszystkie ziemie na północ od Gór Krzemienych, i podpisać z se-kohlandzkim Ojcem Wojny upokarzający traktat pokojowy. Wielu już wieszczyło koniec Imperium Meekhańskiego i patrząc na kolumnę duchów zbliżającą się ze wschodu, Varhenn był gotów przyznać im rację.

— Pan tu dowodzi, kapitanie?

To były pierwsze słowa, jakie padły z ust dowódcy nadciągającego oddziału. Zdumiewające, ale wyłowił ich bezbłędnie z chaosu, który wciąż panował u wejścia do doliny. Liczba odprowadzanych na bok wozów powiększała się regularnie, podobnie jak stado zwierząt, beczących, ryczących i kwiczących wniebogłosy. Porucznik Wareh-kae-Lewal, na którego głowę spadło opanowanie całego tego zamieszania, poradził sobie w zdumiewająco prosty i skuteczny sposób: około dwudziestu najcięższych i najsolidniej zbudowanych wozów ustawił po obu stronach drogi i powiązał je łańcuchami, zwężając przejście do kilkunastu łokci. To pozwoliło opanować strumień uchodźców, oddzielić zwierzęta od ludzi i zatrzymać pozostałe wozy na zewnątrz. Kolejne partie uciekinierów docierały do przeszkody, ale niewielu próbowało

awanturować się lub wjechać na siłę. Miny żołnierzy nie dały nadziei na ulgowe traktowanie.

Mimo to panowało tam spore zamieszanie, dorośli krzyczeli, dzieci płakały, zwierzęta ryczały, czasem dochodziło do przepychanek i bijatyk między uchodźcami. Lecz dowódca nadchodzącej kolumny wypatrzył w tym rozgardiaszu stojącego nieco z boku oficera i bez wahania podszedł do niego. Varhenn popatrzył na minę kapitana i przygotował się na kłopoty.

— Ja, panie młodszy pułkowniku. Starszy kapitan Kawer Monel z Górskiej Straży. Czwarty Pułk... — przerwał z niemal obraźliwym wyczekiwaniem w głosie.

— Pułkownik Darwen-lav-Glasdern. Siedemnasty Pułk Piechoty. — Oficer uśmiechnął się i uklonił lekko, uprzejmie, jakby czekał na oddanie honorów ze strony żołnierza młodszego stopniem.

Daremnie. Czarny Kapitan zmierzył go tylko lodowatym spojrzeniem, oceniając kolczugę, hełm i pas z mieczem. Wszystko było zakurzone, ale nie wyglądało na używane w walce. Pułkownik wyglądał na trzydzieści, trzydzieści pięć lat, miał gładko ogoloną twarz, jasne włosy i spokojne, brązowe oczy. Przypominał dworskiego bawidamka, a nie oficera cesarskiej armii.

— Stoczyliście bitwę? — Kolejne pytanie, zadane tonem, który mógł być powodem do wyzwania na pojedynek. Dowódca Siedemnastego jakby nie zwrócił na to uwagi.

— Nie. Mieliśmy obstawić bród na Valesie, żeby nie obezli nas ze skrzydła, gdy reszta będzie próbowała ich powstrzymać. Ale nie pojawili się, zamiast tego doszła nas wieść o klęsce. Oba nasze pułki zostały zmasakrowane. Tyle wiem. Dostałem rozkaz, żeby przejść Mały Grzbiet i poprowadzić ludzi na wschód, do Ars-Gawellen. Tam ma być rejon koncentracji.

— Rozkaz? Mogę go zobaczyć?

Cholera.

Młodszy pułkownik wyprostował się lekko i spojrział kapitanowi w oczy. Nie uśmiechał się już, a jego oczy straciły łagodny wyraz.

— Nie, kapitanie. Nie może pan. W imperialnej armii młodzi stopniem nie przepytują starszych i nie sprawdzają ich rozkazów.

— Zgodnie z przywilejem nadanym Górskiej Straży przez cesarza Hellenrorfa, nasze stopnie liczą się o szarzę w górę w stosunku do zwykłej armii. Więc jesteśmy równi.

— Ten przywilej obowiązuje tylko w górach.

— My jesteśmy w górach, panie młodszy pułkowniku. Ta dolina i wszystko wokół niej to wessyrskie terytorium. Góry właśnie. Tutaj każdy z moich żołnierzy jest dziesiętnikiem dla pańskich ludzi. Nawet on. — Wskazał na gońca.

Varhenn zaczął żałować, że nie jest w innym miejscu. Bardzo odległym miejscu, gdzie nie spotyka się oficerów użerających się ze sobą o hierarchię.

Przez chwilę pułkownik mierzył chłopaka wzrokiem. Milczał.

— A jakie rozkazy wy otrzymaliście? — Skierował wreszcie wzrok na kapitana.

— Umożliwić przejście przez Mały Grzbiet tyłu ludziom, ilu się da, nie zostawić dla koczowników niczego cennego, żadnych łupów, żadnych zwierząt, utrzymać przejście przez góry. W tej kolejności.

— Więc umożliwicie przejście także nam. I tyle. Zanim zajdzie słońce, będziemy na szczycie.

— Nie. To niemożliwe — powiedział kapitan, a dowódca resztek Siedemnastego delikatnie musnęła lamówkę swojego płaszcza, sugerując, że przywilej dawno nieżyjącego cesarza jednak go nie obowiązuje, po czym dał znak swoim ludziom.

Musieli to przygotować wcześniej, z daleka widząc, że wejście do doliny jest blokowane. Za plecami pułkownika

żołnierze demonstracyjnie zakładali tarcze na ramiona, a grupki kuszników jakby nigdy nic zajmowały pozycje na skrzydłach. Na barykadzie przegradzającej wejście do doliny wszczął się ruch. Porucznik kae-Lewal szybkimi gestami zaczął gromadzić strażników. Na kilka uderzeń serca zapanaowała cisza, uciekający cywile zamilkli, gapiąc się z przerażeniem na szykujących się do walki żołnierzy, nawet zwierzęta umilkły, jakby wyczuły zbliżającą się rzeź.

— Więc jak będzie z tym przejściem, panie kapitanie? — Pułkownik omiatał wzrokiem barykadę. — Uzyskam je?

Uniósł brwi, gdy usłyszał drwiące parsknięcie.

— Coś panu pokażę, pułkowniku. — Czarny Kapitan wykonał zapraszający gest. — Zrozumie pan.

Podeszli do barykady; Varhenn szedł za nimi. Kapitan szerokim, gospodarskim gestem wskazał na dolinę. Stąd wzrok mimowolnie skupiał się na drodze, biegnącej prosto, jak strzelił przed siebie, a potem wspinającej się zakosami na szczyt Łysicy. Dowódca Siedemnastego dłuższą chwilę stał i patrzył. Ludzie, zwierzęta, wozy... Dolina miała prawie pięćset jardów długości i była o połowę szersza, ale i tak wydawało się, że jest wypełniona po brzegi. Ludzka kolumna na szlaku wyglądała z tej odległości jak szary wąż, mozolnie pełzający w górę.

— Sześćdziesiąt tysięcy uchodźców, może nawet więcej — kapitan mówił cicho, spokojnie. — Mężczyźni, kobiety, dzieci i starcy. W większości Wessyrczyzy z pogórza. Powiem panu, co się stanie, jeśli spróbujecie wykonać rozkazy. Będziecie musieli wejść do doliny, przepchnąć się przez tych wszystkich ludzi i zacząć wspinać na górę krętym, wąskim szlakiem, na którym jest w tej chwili jakieś piętnaście tysięcy ludzi. Będziecie musieli ich spychać z drogi tarczami i trzonkami włóczni, będziecie musieli dźgać mieczami opornych. Padną setki trupów, będą tysiące rannych. Wasze wozy z machinami zablokują drogę na długie godziny. Wozy

kupieckie zazwyczaj zatrzymują się u podnóża szlaku na noc, żeby zwierzęta mogły odpocząć przed wspinaczką, a wasze konie mają za sobą co najmniej dwa dni drogi. Zablokujecie wejście na górę, a to znaczy, że koczownicy urządzą tu rzeź. Zabiją wszystkich starców. Dzieci, kobiety i zdrowych mężczyzn wezmą w niewolę i popędzą na wschód. A wy, wspinając się na górę, będziecie na to patrzeć.

— Ale...

— Nie, pułkowniku. Żadnych „ale”. Najbliższy a’keer jest sześć mil stąd. To na razie zwiad, ale ich siły główne, w liczbie jakichś trzydziestu tysięcy ludzi, będą tu jutro rano. Nawet jeśli teraz zaczniecie wspinaczkę, gdy przybędą, dotrzecie mniej więcej do dwóch trzecich drogi. Zapewniam, że z góry będzie wszystko świetnie widać.

Varhenn patrzył, jak pułkownik odwraca się i daje znak swoim żołnierzom. Tarcze powędrowały na miejsca, kusznicy wrócili do kolumny. Powoli wypuścił powietrze.

Darwen-lav-Glasdern, młodszy pułkownik, ostatni pozostały przy życiu wyższy oficer Siedemnastego Pułku Piechoty, stał u wejścia do doliny i patrzył. Miał tak nieprzenikniony wyraz twarzy, że wydawało się, iż założył jakąś maskę.

* * *

Velergorf przerwał i sięgnął po manierkę. Skurczybyk wiedział, w którym momencie zrobić przerwę. Kenneth rozejrzał się wokół. Oczywiście ustalony szyk trafił szlag, zdawało się, że nawet psy podeszły bliżej i przysłuchują się opowieści. Szpieg przestał już ciężko dyszeć i mamrotać pod nosem przekleństwa.

— Nie wiedziałem, że Siedemnasty miał rozkaz przejścia przez góry... — Dobiegło z boku.

Porucznik obejrzał się. Wilk.

— Czy ty nie miałeś iść na szpic?

— Hawen się ze mną zamienił, panie poruczniku. Jemu najbardziej się spieszy, a mówi, że tę opowieść słyszał już sto razy.

— Ty też, Wilk.

— Tak, ale nie od kogoś, kto stał przy Czarnym Kapitanie i na własne oczy widział pułkownika Lav-Glasderna.

Obaj spojrzeli na dziesiętnika. Ten przechylił manierkę, pociągnął kilka głębokich łyków, zakręcił ją, poruszył, słuchając chlupotu, z namysłem odkręcił jeszcze raz i upił kolejny łyk, zakręcił, powiesił przy pasku, potrząsnął głową, sięgnął ponownie po naczynie...

— Varhenn...

— Tak, panie poruczniku? — Pokryta tatuażami twarz wyrażała całkowitą niewinność.

— Jeśli zaraz nie zaczniesz opowiadać, będę musiał zgłosić kogoś do awansu, zaraz po meldunku o tragicznym wypadku, który pozbawił mnie dziesiętnika.

— Tak — mruknął ktoś z tyłu. — Na przykład mógłby się nadziać na nisko przelatujący bełt.

Kenneth uśmiechnął się lekko.

— No więc?

* * *

Varhenn patrzył, jak pułkownik odwraca się i idzie w stronę swojego oddziału. Ciemnoniebieski, zakurzony płaszcz zwisał mu smętnie z ramion. To dziwne, ale wydawało się, że z każdym krokiem oficer prostuje się, stąpa coraz bardziej lekko i swobodnie. Młody goniec był gotów założyć się o swój roczny żołd, że na gładkiej twarzy żołnierza pojawił się uśmiech. Czarny Kapitan milczał. Chłopakowi po raz pierwszy przyszło do głowy, że można milczeć bardzo wymownie.

— Teraz zobaczymy — mruknął wreszcie.

— Co, panie kapitanie? — odważył się zapytać.

- Czy ten Meekhańczyk jest z żelaza, czy z gówna.
- Rozumiem, panie kapitanie.
- To dobrze, chłopcze. To dobrze.
- Podszedł do nich czarodziej. Minę miał nietęgą.
- Złe wieści?
- Ten główny zagon... Ruszyli szybko, bardzo szybko. Co najmniej kłusem. I podzielili się na trzy części. — Wskazał ręką na wschód, zachód i południe.
- Zagarniają resztę. Dobrze wiedzą, że stąd nie ma gdzie uciec. Kiedy będą na miejscu?
- W tym tempie? Ze szczytu Łysicy pewnie da się już zobaczyć najbliższy oddział. Rankiem zobaczymy ich stąd.
- Kapitan skinął głową.
- A więc zaczekamy tu na nich.
- Milczał dłuższą chwilę.
- Mistrzu, mam prośbę — powiedział wreszcie.
- Słucham, kapitanie.
- Niech burmistrzowie i starostowie wyznaczą po kilku ludzi do zabijania zwierząt. I niech złączą zabijać już teraz. Nie chcę, żeby żołnierze musieli to robić.
- Dlaczego?
- Ludzie nie powinni widzieć, jak Górska Straż pozbawia ich majątku, jak morduje trzymanego od źrebaka konia czy wyrzyna ukochane stado runnych owiec. Takie rzeczy powinien zrobić właściciel. Poza tym żołnierze będą tu jeszcze mieli okazję unurzać broń we krwi.
- Rozumiem. Kiedy będzie trzeba zacząć podpalać wozy, proszę dać mi znać.
- Dobrze. Wozy podpalamy na samym końcu. Dym w tej dolinie to zły pomysł.
- Zbliżał się do nich pułkownik w towarzystwie trzech oficerów.
- Kapitan Gławeb, porucznik kan-Porenn i porucznik la-w-Herwys — przedstawił ich krótko.

Gławeb nosił czarny, skórzany pancerz imperialnej artylerii. Bez słowa, lekko tylko skinąwszy głową, przepchnął się między nimi i wlepił wzrok w wejście na Łysicę. Na ogorzalej, pokrytej zmarszczkami twarzy zagościł ponury uśmiech.

— Ni cholere. Nie wejdzimy — wychrypiał, charknął, splunął bezceremonialnie na ziemię i powiedział już normalnym głosem. — Miał pan rację, pułkowniku. Cały dzień, a z naszymi zwierzętami może i więcej.

Jego dowódca uśmiechnął się przepraszająco.

— Artylerzyści. Duma imperialnej armii. Są równie niedyscyplinowani i bezceremonialni jak Górska Straż. Porucznik kan-Porenn dowodzi drugą kompanią ciężkiej piechoty, porucznik law-Herwys kompanią kuszników.

To akurat każdy mógł stwierdzić bez żadnych wyjaśnień. Pierwszy oficer miał na sobie pełny bojowy rynsztunek piechoty: skórzany pancerz, ciężką, sięgającą kolan kolczugę, stalowe nagolenniki, hełm z kolczym nakarczkiem. Potężną tarczę zawiesił sobie na plecach, krótki miecz przesunął na przód. Od przeciętnego żołnierza piechoty odróżniała go tylko czerwona lamówka wokół płaszcza. Drugi oficer nosił skórzany pancerz, uzupełniony jeszcze narzuconą na wierzch pikowaną kamizelką, prosty hełm i kord. Trzy kołczany z bełtami obciążały mu pas, a ciężką kuszę trzymał w ręku. Obaj ograniczyli się do krótkiego oddania honorów i stanęli z boku, milcząc. Czarny Kapitan zmierzył ich taksującym spojrzeniem, jakby już szukał jakichś słabych punktów.

— Koczownicy przyspieszyli — powiedział w chwili, gdy milczenie stało się nieznośne. — Główne siły będą tu rankiem. Pojedyncze a'keery możemy zobaczyć w każdej chwili.

— To oczywiste. — Darwen-lav-Glasdern nie wyglądał na wstrząśniętego.

— Oczywiste, pułkowniku?

— Przybyli tu po łupy. Nie po ziemię, ale po złoto, srebro, drogie tkaniny i niewolników. Po stada zwierząt. I wszystko to wymyka im się z rąk. Wiedzą, że ta dolina to lejek z wąskim gardłem, ale nie chcą stracić zbyt wiele. Dlatego przyspieszyli.

— Nie wpuszczę was na górę poza kolejnością.

— A ta kolejność to? — Pułkownik uśmiechnął się lekko i, co było zdumiewające, nie położył dłoni na rękojeści miecza.

— Taka, w jakiej przybyliście. Czyli możecie wejść przed nimi. — Wskazał na zbliżającą się grupę uchodźców.

— A wy? Wchodzicie na górę ostatni?

— Oczywiście.

Dowódca piechoty przeniósł spojrzenie za plecy kapitana i ponownie zapatrzył się na dolinę.

— Moje rozkazy brzmiały „najszybciej jak się da”, kapitanie. Myślę, że jeśli będziemy na górze szybciej niż Straż, tempo będzie właściwe... — Uśmiechnął się bez śladu wesołości. — A poza tym, po raz pierwszy te cholerne dzikusy nie będą mogły uciekać przed nami po całym polu bitwy. Jeśli zechcą tu wejść, poczujemy ich smród z naprawdę bliska. Nareszcie będziemy mogli powitać ich jak trzeba.

Kapitan po prostu skinął głową.

— Będziecie bronić wejścia?

Pułkownik wymienił spojrzenie ze swoimi oficerami.

— A potrzebne wam koła od wozów? — zapytał.

Meekhańska piechota słynęła z dwóch rzeczy. Z nieustępliwości w natarciu i z tego, że potrafiła stawiać szanice nawet na środku morza. Techniki budowania okopów, wałów obronnych, palisad, umiejętność tworzenia linii obronnych w szczerym polu, za pomocą łopat i siekierek, żołnierze ćwiczyli na równi z posługiwaniem się mieczem, tarczą i włócznią. Stare powiedzenie mówiło, że jeśli dać Meekhańczykom

trzy godziny, zbudują okop, lecz jeśli będą mieli trzy dni, postawią twierdzę.

Tu sprawę ułatwili uchodźcy. Setki wozów stało już w pobliżu wejścia do doliny. Pułkownik wysłał tam natychmiast żołnierzy, którzy zaczęli wybierać spośród nich najlepsze do obrony. W pierwszej linii miały stanąć najcięższe, najczęściej kupieckie, z solidnymi burtami i dnami. Gdy tylko wybrane trzydzieści wozów utworzyło półokrąg na zewnątrz wejścia, z jedną tylko szczeliną, przez którą wciąż przepuszczano uciekinierów, w ruch poszły łopaty. Pod każdym kołem wykopano dół, po czym wpuszczono je aż do połowy szprych w ziemię. Przed linią obrony błyskawicznie powstał rów, a wykopana ziemia trafiła pod wozy, uniemożliwiająca prześlizgnięcie się pod spodem. Wszystkie pojazdy powiązano ze sobą łańcuchami i sznurami, długie deski zdjęte z innych wozów służyły do zamknięcia przejść pomiędzy nimi i podniesienia burt. Co kilka kroków montowano na wozach daszki, mające osłaniać żołnierzy przed spadającymi z góry pociskami. Wzdłuż całego szanca stukwały młoty, łopaty gryzły ziemię. Varhenn patrząc, jak żołnierze wyłamują dyszle z reszty pojazdów, ostrza je i wbijają przed frontem barykady, gotów był uwierzyć w te trzy dni i twierdzę.

Pytanie o koła nie było bynajmniej retoryczne. Z wozów, które i tak miały spłonąć, zdejmowano koła, ściągano obręcze i ostrzono szprychy. Później wbijano koło w ziemię na sztorc. Cztery lub pięć takich wystających z ziemi drewnianych ostrzy mogło spowolnić każdy atak.

W odległości do stu jardów od linii obrony poruszało się kilkudziesięciu żołnierzy, wyposażonych w szerokie świdy. Zrobienie otworu o głębokości dwóch stóp i szerokości dziesięciu cali zajmowało każdemu niespełna dwie minuty.

Czarny Kapitan patrzył w milczeniu na całą tę pracę.

— Słyszałem, że każdego piechociarza, u którego znajdują taki świder, koczownicy żywcem obdzierają ze skóry. Ale

chodzą też słuchy, że wystarczy, żeby przed bitwą kilkudziesięciu żołnierzy przeszło się z takim sprzętem przed naszymi liniami, a nie odważą się szarżować. Konie łamią nogi. Parszywa rzecz taki dół.

— Równie parszywa jak strzała w brzuchu? — Rozległo się za nimi.

Oficer nie obejrzał się na czarodzieja.

— O to trzeba by zapytać konie, mistrzu. Daleko są?

— Dziesięć mil. Trochę zwolnili. Ale luźne a'keery są bliżej. Cztery, pięć mil. Tyle wiem.

— Nie próbują nas oszukać?

— Jeszcze nie wiedzą, że tu jestem. Ja tylko nasłuchuję, nie krzyczę i nie błyskam Mocą. — Czarodziej uśmiechnął się samymi wargami. — Prawda wygląda tak, że nie odważę się tego zrobić. Ich szamani są wyjątkowo potężni. Ale nawet oni nie wyczują mnie, dopóki sam nie zacznę rzucać zaklęć. Jest tu kilku takich, którzy trochę korzystają z Mocy, poza tym tak wielkie skupisko podenerwowanych i przestraszonych ludzi zawsze wprowadza zamęt w aspektowane źródła. Zresztą, po co mieliby się ukrywać? Ze szczytu Łysicy na pewno już widać większość zagonu, maskowanie się za pomocą magii to marnotrawstwo sił. I tak są pewni, że wejdą do doliny przy pierwszym ataku i będą tylko zbierać łupy.

Varhenn otworzył usta, zanim zdążył się zastanowić.

— Skąd wiecie, mistrzu, że są pewni?

— Bo śpiewają. — Czarodziej wzruszył ramionami. — Słyszę ich. Nie znam słów, ale to radosne, bojowe pieśni, takie, które towarzyszą zwycięskiej wojnie. — Oczy mu pociemniały. — Gdy człowiek słyszy taki śpiew na ustach wrogiej armii, to wie, że jego kraj przegrywa. Oni idą tu po łupy i mord.

Nikt nic nie dodał. Nie było sensu zaprzeczać.

* * *

— Przerwa!

Kolejny bieg zakończyli po przebyciu długiej prostej. Droga była tu robiona według najlepszych imperialnych wzorców, twarda i równa jak stół, z dającymi cień drzewami zasadzonymi w regularnych odstępach. To właściwie nie był bieg, tylko przyjemna wycieczka.

Kenneth kilkoma niecierpliwymi gestami rozstawił ludzi szerzej. Nawet w trakcie truchtu zmieniali swoje pozycje, by znaleźć się bliżej Velergorfa.

— Kiedy zobaczyliście pierwszych Se-kohlandczyków? — zapytał, gdy oddział ustawił się w szyku.

— Przed nocą...

* * *

Pojawili się nagle, ciemna plama oderwała się od majającego na horyzoncie lasu i pomknęła ku głównej drodze. Przez kilkanaście uderzeń serca nikt nie reagował, chyba nawet nikt ich nie spostrzegł. Żołnierze i strażnicy zgromadzeni przy okopanych wozach zajęci byli głównie popędzaniem nierozładowanego zatoru przy wejściu, który utworzył się, gdy dwie grupy uciekinierów próbowały wejść jednocześnie. Doszło do krótkiej walki na kije i pięści, którą zakończyło dopiero wypłazowanie kilku jej najbardziej zacierzwionych uczestników. Już wydawało się, że przejście zostanie udrożnione, gdy z końca kolumny uchoźców dobiegł rozpaczliwy kobiecy krzyk. Po chwili rozległo się kilka następnych i nagle cała grupa, około trzystu osób, rzuciła się naprzód. Przejście w linii wozów miało szerokość niespełna dziesięć kroków, tłum zatkał je jak wilgotny piasek klepsydrę. Chłopi, jeszcze przed sekundą zajęci okładaniem się pięściami, nagle musieli walczyć o życie. Żołnierze zaczęli siłą wyciągać ludzi, nie patrząc, czy targają odzież, czy wyłamują ręce. Jakaś kobieta krzyczała coś o swoim dziecku.

Varhenn nie patrzył na nią. Stał na wozie obok Czarnego Kapitana i spoglądał na południe. Słońce dopiero zbliżało się do horyzontu i noc nie zdążyła jeszcze litościwie okryć wszystkiego swoim płaszczem. Ciemna plama była już niepełna milę od ich linii, a po kilku uderzeniach serca rozdzieliła się na poszczególnych jeźdźców. Około stu, jeśli go wzrok nie mylił. Rozciągnęli się sprawnie w półksiężyc i pochłonęli sześć najbliższych wozów z karawany, która podążała drogą ku wejściu do doliny. Nie było widać szczegółów, ale jeszcze przed chwilą wozy posuwały się przed siebie, otoczone przez kilkunastu ludzi, a teraz dwa z nich zjechały na bok i ugrzęzły w rowie, pozostałe cztery zatrzymały się. Oddział oderwał się od pojazdów i ruszył cwałem naprzód. Uchodźcy w kolumnie byli martwi. Dookoła wozów leżały ciała, które wyglądały z tej odległości jak ciemne, niezgrabne tłumoki.

Na drodze wybuchła panika. Około tysiąca ludzi runęło biegiem w stronę zbawczej doliny. Pędzone stada rozpierzchnęły się na wszystkie strony, uciekający ciskali na ziemię toboły, porzucali ciągnięte przez wiele mil wózki i pędzili przed siebie. Jakiś woźnica machał batem, usiłując zmusić przemęczone zwierzęta do ostatniego wysiłku, wreszcie zeskokczył z kozła i pobiegł niezdarnie. Inny stracił panowanie nad zaprzęgiem i wyrzucił furmankę, tarasując drogę; po chwili uderzył w niego kolejny wóz, potem jeszcze jeden. W powietrze buchnął kwik ranionych koni.

A pomiędzy tym chaosem szaleli jeźdźcy. Mknęły strzały, błyskały szable, długie lance kłuły plecy i przygważdżały leżących do ziemi. Jedynym celem tej rzezi było wzbudzenie przerażenia i zamieszania.

Byli daleko poza zasięgiem żołnierzy.

Obok kapitana pojawiło się kilku kuszników. Dowodzący nimi krępy dziesiętnik zasalutował krótko i zdjął broń z pleców.

— Mamy rozkazy, panie kapitanie, trzymać ich tak daleko, jak się da.

— A jak daleko dacie rady tym?

Dowódca Górskiej Straży wskazał ciężką kuszę naciąganą zębatą przekładnią.

— Z tego cacka normalny zasięg to ćwierć mili, panie kapitanie.

Varhenn pokiwał głową z uznaniem. Straż używała lekkich kusz, napinanych za pomocą haka zamocowanego na pasie lub prostą przekładnią, zwaną „koźlą nóżką”. Były lekkie, niezawodne i ładowało się je znacznie szybciej niż tą, z którą teraz mozolnie walczył dziesiątnik. Poza tym przy odrobinie wprawy dało się je przygotować do strzału, nawet leżąc, a w górach nie było niczego, z czym zwykła kusza nie poradziłaby sobie bez problemu. Broń, którą zaprezentował im teraz piechociarz, była używana głównie przy oblężeniach miast albo w walce z ciężkozbrojną jazdą.

Szczęknięty zapadki, umieszczono bełty w rowkach. Dziesiątnik uniosł broń i oparł ją o burty wozów. Podoficer przez chwilę lustrował przedpole, po czym warknął krótko:

— Lewo. Ośmiu jeźdźców. Dwóch w płaszczach. Środek.

Kusze zsynchronizowały ruch i zamarły, wycelowane w tę samą stronę.

— Teraz!

Brzęknęły cięciwy. Przez dwa, trzy uderzenia serca grupa jeźdźców galopowała przed siebie. Nagle dwa konie zgubiły rytm, potknęły się, jeden z nich nie zdołał odzyskać równowagi i zarył chrapami o ziemię, zrzucając jeźdźca. Cały oddział poszedł w rozsypkę, zawracając niemal w miejscu i cwałując w stronę lasu.

— Było więcej niż ćwierć mili.

— To pomysł naszego porucznika, panie kapitanie. Oni — dziesiątnik zdjął kuszę z burty i znów zaczął kręcić korbą

— najczęściej używają co najmniej dwóch rodzajów strzał: lekkich, którymi szyją na przeszło trzysta kroków i które służą bardziej do ranienia i wprowadzania zamętu, i... uff, i ciężkich, na krótki dystans, używanych do przebijania zbroi. Więc nasz porucznik kazał zbrojmistrzowi w garnizonie zrobić trochę takich bełtów – lżejszych prawie o połowę od zwykłych. Niosą znacznie dalej i choć na ćwierć mili nie przebiją porządnego pancerza, to świetnie ranią konie i ludzi... uff.

Położył bełt w rowku i uniósł kuszę do ramienia.

Varhenn odszukał wzrokiem ostrzelaną przed chwilą grupę. Liczyła już tylko sześć koni. Jeszcze jedno zwierzę zostało w tyle, kulejąc wyraźnie. Reszta koczowników nie zorientowała się jeszcze, że są już w zasięgu strzału.

— Prawo. Obok zielonego wozu. Dziesięciu. Cwałują w stronę bab i dzieciaków. Środek.

Minęła chwila, konni zmniejszyli dystans do uciekinierów o jedną trzecią.

— Teraz!

Efekt był jeszcze bardziej widowiskowy. Dwóch pierwszych jeźdźców po prostu zmiotło z siodła, koń trzeciego potknął się i przewrócił, podcinając dwa następne. Z dziesięciu koczowników została połowa. Ocaleni osadzili wierzchowce niemal w miejscu i po chwili widać było tylko końskie zady i plecy jeźdźców.

Na wozy wdrapywali się kolejni żołnierze. W ciągu kilkunastu sekund kusznicy obsadzili całą liczącą ponad sto pięćdziesiąt jardów linię obrony. Skrzypiały cięciwy, klekotały zapadki. W regularnych odstępach czasu barykada posyłała salwy bełtów w stronę najeźdźców. Wkrótce wokół wejścia do doliny utworzył się szeroki na jakieś pięćset kroków pas ziemi niczyjej. Ci z uciekinierów, którzy nie zdążyli się w nim schronić, byli już martwi.

Reszta ciągle biegła, bo koczownicy nie zrezygnowali z rzezi. Także z ich strony zaczęły świstać strzały. Krzyki uciekających brzmiały strasznie. Zaciskając pięści, Varhenn patrzył, jak w grupie biegnących kobiet i dzieci, którą ocaliła wcześniej celna salwa, giną kolejne osoby. Jakaś dziewczyna runęła na ziemię, łapiąc się za przebite strzałą gardło, jedna z kobiet krzyknęła rozdzierająco, zrobiła kilka chwiejnych kroków i upadła na kolana, przez chwilę próbowała jeszcze pełzać na czworakach. Z pleców sterczały jej trzy drzewca. Powoli kładła się na ziemi, jakby chciała ją objąć, przytulić, schować się w niej – i znieruchomiała.

Jednak wkrótce krwawe widowisko dobiegło końca. Łuki Se-kohlandczyków miały zasięg o dobre dwieście jardów krótszy niż ciężkie kusze imperialnej piechoty, a uchodźcy biegli naprawdę szybko. Po minucie zabrakło koczownikom celów.

— To tylko zwiadowczy a'keer — kapitan powiedział to wolno, cedząc każde słowo przez zęby. — Reszta naszych gości przybędzie pewnie jutro.

— Racja, panie kapitanie. — Pułkownik wyrósł obok jakby spod ziemi. — Czeka nas cała noc ciężkiej roboty. Dobrze strzelanie, Kamień.

— Dziękuję, panie pułkowniku. — Dziesiętnik kuszników nie przestawał celować w przedpole. — Te nowe bełty świetnie niosą.

— Widziałem. Czy pańscy ludzie mogą obsadzić te wznieśnienia, kapitanie? — Dowódca Siedemnastego wskazał skalne ramiona, obejmujące wejście do doliny. — Wiem, że trudno się tam wspiąć, ale nie jest to niemożliwe.

— Już wysłałem tam kilku zwiadowców. Zadbamy o to. Co z tą całonocną robotą?

— Dziękuję. To — piechociarz stuknął w burtę wozu — pierwsza linia obrony. Ale jest zbyt szeroka i za bardzo rozciągnięta. Ma ich tylko spowolnić. Za to w samym wejściu

zbudujemy drugą, a potem trzecią, tym razem wklęsłą. Chcę także okopać się u stóp Łysicy, żeby osłaniać odwrót na górę.

Czarny Kapitan popatrzył na niego jak na szaleńca. Po chwili zbliżył twarz do pułkownika i syknął:

— Masz ośmiuset zmęczonych ludzi, a jutro stanie tam trzydziestotysięczna armia, z czarownikami, Jeźdźcami Burzy i bogowie wiedzą, czym jeszcze. Naprawdę myślisz, że dasz radę ich zatrzymać, a potem wycofać się na szlak?

Przez chwilę oblicze drugiego oficera nic nie wyrażało. Potem uśmiechnął się lekko. Na widok tego grymasu żołądek Varhenna wypełnił się lodem.

— Mam ośmiuset ludzi i żadnego wsparcia w magii, to prawda, panie kapitanie. Jesteśmy zmęczeni jak nigdy. To też prawda. Jutro stanie naprzeciw nas trzydzieści tysięcy barbarzyńców, przywykłych do zwycięstw, i o tym też nie zapomniałem. Ale nie mam innego wyjścia. Mogę zniszczyć maszyny, spalić wozy i wepchnąć się na górę siłą. I wtedy ta dolina wypełni się krwią. Najpewniej żaden z nas nie dożyje jutrzejszej nocy, i o tym też wiem i ja, i moi ludzie. Ale jesteśmy zasraną piechotą, która ma za zadanie walczyć w obronie obywateli Imperium.

— Więc to są obywatele imperium? Meekhańczycy?

— Tak, kapitanie. To są Meekhańczycy.

— Nie radzę mówić tego głośno, bo będziecie musieli walczyć na dwa fronty.

Pułkownik uśmiechnął się szerzej.

— Zobaczymy. Kamień!

— Tak jest!

— Zostawię tu pięćdziesięciu ludzi pod twoją komendą. Trzymajcie ich na dystans. Reszta bierze się do kopania.

— Rozkaz!

Dowódca piechoty odwrócił się i zeskoczył z wozu. Kapitan patrzył przez chwilę na jego plecy.

- Dureń — mruknął wreszcie. — Varhenn!
— Jestem, panie kapitanie.
— Przekażesz rozkazy...

* * *

— A kiedy przybyła reszta armii?

Zatrzymali się na dłuższy odpoczynek przy strumieniu. Żołnierze napelniali manierki, gryźli suchary i suszone mięso, odpoczywali. Oczywiście większość zajęła miejsca w pobliżu Velergorfa.

— O świcie, panie poruczniku. Wcześniej, niż myśleliśmy, piechota ledwo zaczęła budować trzecią barykadę, a tu rozległ się alarm i pojawili się koczownicy. A gdy zaczęli się wyłaniać z lasu, wyglądało na to, że nigdy nie przestaną. Wyjeżdżali i wyjeżdżali, szereg za szeregiem, przy granu trąb i piszczałek, przy waleniu w bębny. Wyłaniali się wzdłuż całego widnokregu, we wszystkich miejscach jednocześnie. To był cholerny, przerażający pokaz siły i potęgi, przedstawienie, które miało nas przerazić i odebrać wolę walki. I niemal z miejsca ruszyli.

* * *

Zaczęli z prawego skrzydła. Od ściany koczowników odewał się jeden a'keer, po nim drugi, trzeci i czwarty. Około pięciuset jeźdźców ruszyło kłusem, potem galopem, by tuż przed umowną linią zasięgu kusz przejść w cwał. Reszta koczowniczej armii wydała ogłuszający okrzyk wojenny, któremu towarzyszyło potrząsanie bronią, uderzanie szablami o tarcze i rżenie koni. Fala dźwięku walnęła o skalną ścianę, przelała się przez barykadę i wpadła w dolinę. Tłum zgromadzony pod górą zakłębił się jak żywe mrowisko oblane wrzątkiem i odpowiedział krzykami przerażenia.

Cwałujący oddział przecinał ziemię niczyją po cięciwie, z każdym krokiem zbliżając się do barykady. Która milczała.

Obszar wywierconych otworów, zaostzonych szprych i pali sięgał nie dalej niż na sto kroków przed wozy, do tej granicy jazda miała swobodę manewru. W pierwszym ataku dowodzący se-kohlandzką armią najwyraźniej zamierzał sprawdzić zasięg pułapek i determinację obrońców. Jakies sto pięćdziesiąt jardów od wozów koczownicy napięli łuki i wypuścili chmurę strzał. Pociski pomknęły w niebo po wysokich parabolach, niemal znikając z oczu obserwującym je żołnierzom. Zanim osiągnęły maksymalną wysokość i złamały lot, konni wystrzelili ponownie. Zanim groty runęły śmiercionośnym gradem na wzniesione tarcze i ochronne daszki, w niebo pomknęła trzecia salwa.

Varhenn stał na jednym ze skalnych wałów obejmujących dolinę i patrzył. Przed chwilą dostarczył rozkaz od kapitana, mówiący, że Straż ma nie ujawniać swojej obecności, jeśli nie zostanie zauważona. Wzniesienia miały w najniższym miejscu przeszło sto stóp wysokości i opadały, jakby ktoś nożem odciął skałę. Teoretycznie można było je sforsować, Górską Straż nie miałyby z tym większego problemu, ale wymagałoby to lin, haków, czekanów i przede wszystkim doświadczenia we wspinaczce. Obaj dowódcy ustalili, że dopóki koczownicy nie spróbują tej sztuki lub dopóki sytuacja nie stanie się rozpaczliwa, górale będą się maskować.

Oba szczyty, podobnie jak resztę stoków, porastały sosny. Łatwo można się było wśród nich schować i przycziąć, choć bezczynne czekanie nie leżało w naturze górskich żołnierzy, zwłaszcza gdy mieli przeciwnika w zasięgu strzału.

— Na co oni czekają? — Dowodzący Trzecią Kompanią porucznik Gyrwen wychylił się zza pnia i zlustrował równinę. — Jesteś pewien rozkazów? Mamy się kryć?

— Tak, panie poruczniku. Nie ujawniać się.

— Rozumiem. Ale tu by się przydał każdy bełt.

Na to chłopak nie miał żadnej odpowiedzi. Z tej wysokości widać było, że armia koczowników jest olbrzymia. Gigan-

tyczna. To było prawdziwe ludzko-końskie morze. Każdy koczownik prowadził ze sobą trzy lub cztery wierzchowce, żeby czy to w bitwie, czy podczas ucieczki zawsze mieć pod ręką świeże zwierzę. Tym samym trzydziestotysięczna armia miała ponad sto tysięcy koni. I cała ta potęga opasywała teraz pierścieniem wejście do doliny i mającą bronić je, tak wątlą z tej perspektywy barykadę. To był pokaz siły skierowany do obrońców. Wydawało się, że wystarczy, iż armia ta po prostu ruszy naprzód, a przewali się przez barykady jak morska fala przez zamek z piasku. Atakujący nawet nie musieliby wyciągać broni, samą masą, samym impetem zrównaliby z ziemią wszystko na swojej drodze.

Goniec obrzucił wzrokiem umocnienia. Pierwsza linia obrony wybiegała półkolem przed wejście do doliny, druga, najkrótsza, blokowała środek kamiennych wrót. Trzecia, wciąż nieukończona, była lustrzanym odbiciem szańca zewnętrznego. Jeśli komukolwiek uda się sforsować pierwszą i drugą linię umocnień, znajdzie się w krzyżowym ostrzale, w kotle utworzonym przez ostatnią barykadę.

Pod warunkiem wszakże, że będzie jeszcze dość obrońców, żeby ją obsadzić.

Za ostatnim szanćem ustawiono całą artylerię pułku. Dowodzący nią kapitan twierdził, że może strzelać nad trzema liniami umocnień, nie szkodząc własnym żołnierzom. Pozostało wierzyć mu na słowo.

Przy skorpionach i onagerach roili się artylerzyści w czarnych pancierzach, ze skórzanymi maskami na twarzach. Kręcili korbami i ostrożnie ładowali na łyżki katapult gliniane dzbany z szyjkami obwiązany szmatami. W stojących nieopodal żelaznych koszach płonął ogień.

Tymczasem atakujący, nie przestając ostrzeliwać barykady, znaleźli się dokładnie naprzeciw wejścia. Na jakiś niewidoczny z góry znak przyczajeni na wozach kusznicy wysunęli się spod ochronnych daszków i zajęli pozycję do strza-

łu. Przymierzyli, padła komenda, oddali zgraną jak na ćwiczeniach salwę i znikli pod osłonami. Wszystko w czasie krótszym niż pięć uderzeń serca, w chwili, gdy jeden grad pocisków właśnie zadudnił o barykadę, a drugi dopiero osiągał szczyt paraboli.

Varhenn przeniósł wzrok na nacierający oddział. Był właśnie w odległości jakichś stu dwudziestu jardów, gdy dostał salwę w bok. Strzelała połowa kompanii, około stu kuszników, ale skutek był przerażający. Nie wiadomo, czy szczęśliwie, choć po pokazie z wczorajszego dnia był gotów założyć się, że nie, pociski trafiły w czoło jadącej w ciasnym szyku kolumny. Na pewno strzelają ciężkimi bełtami, zdążył pomyśleć. Pierwsze sześć, siedem koni, cwałujących na przodzie, po prostu się przewróciło. Jakby zwierzętom nagle przecięto ścięgna. Te, które pędziły za nimi, nie miały szans na uniknięcie zderzenia. Nagle w dwa, trzy uderzenia serca na wprost wejścia do doliny powstał zator pełen wierzgających kopyt i rzucających się w drgawkach końskich i ludzkich ciał.

W mgnieniu oka kolumna rozdzieliła się na dwie strony, omijając niebezpieczeństwo i zapominając o oddaniu kolejnej salwy. To wystarczyło. Padła komenda, reszta kompanii kuszników zajęła pozycje, sto kusz szczęknęło jedynym głosem.

Tym razem żołnierze posiali bełty wzdłuż całego oddziału. Wizgi i rzenie ranionych i konających koni, urywane ludzkie okrzyki, jeźdźcy spadający z siodła, przewracające się zwierzęta, walące o ziemię ciała. Dla kogoś, kto bezsilnie obserwował wczorajszą rzeź uchodźców, nie mógł istnieć piękniejszy widok.

Lecz to nie było wszystko, co piechota miała do powiedzenia. Gdzieś z tyłu, zza trzeciej linii obrony rozległ się metaliczny szcęk i cztery onagery wyrzuciły ramiona do przodu. To nie były wielkie, oblężnicze maszyny, tylko artyleria polo-

wa, więc dzbany, które załadowano na łyżki, miały pojemność nie większą niż półtora galona. Wypełniała je jednak mieszanina smoły, siarki, saletry i oleju skalnego. Ciągąc za sobą ogniste warkoczki, pociski przeleciały nad barykadami i trafiły dokładnie w środek kotłującego się oddziału wroga. Teraz stało się jasne, dlaczego przez całą noc artylerzyści odmierzały odległości, ustawiali swoje zabawki i oddawali próbne strzały. Dzięki temu mogli wspierać obronę, nie widząc nawet przeciwnika.

Dzbany eksplodowały ogniem, a po chwili kłęby czarnego dymu przesłoniły obraz. Dźwięki dobiegające z dołu na moment przestały przypominać cokolwiek, co mogło wydstać się z gardeł żywych istot. Gdy dym rozwiął się, na osmalonym, okrwawionym pobojowisku leżały ciała kilkudziesięciu ludzi i koni. Reszta oddziału uciekała na łeb, na szyję, byle schronić się poza zasięg strzału.

Początek dnia należał do Siedemnastego Pułku.

* * *

— Najdziwniejsze... nie, cholera, nie najdziwniejsze. Najbardziej niezwykle było to, że ci przekłęci piechociarze stali cicho. — Velergorf oparł się plecami o pień powykręcane go dębu i przymknął oczy, jakby jeszcze raz oglądał wszystkie obrazy, o których przed chwilą opowiadał. — Nie walili mieczami o tarcze, nie wydawali wojowniczych okrzyków, nie próbowali dodać sobie odwagi wyzywaniem wroga. Stali na barykadzie z powiązanych kupieckich wozów, tak małej, że jak ktoś dobrze się zamachnął, to rzucony kamień bez trudu przeleciał z jednego końca szanca na drugi, naprzeciw mieli kilkadziesiąt tysięcy dzikich wojowników i gdzie nie spojrzeli, tam widzieli nieprzebyte szeregi wroga, a milczeli. Ja na ich miejscu wrzeszczałbym na całe gardło, żeby nie posrać się ze strachu.

Wykrzywił wytatuowaną twarz w gorzkim uśmiechu.

— A my przez pierwsze pół dnia siedzieliśmy na górze i patrzyliśmy, jak walczą. Ataki szły jeden za drugim, niemal bez przerwy, bo stojąc naprzeciw wejścia, koczownicy widzieli wejście na Łysicę i szlak zapchany ludźmi. Widzieli, jak uciekają im łupy. Więc się spieszyli...

* * *

Próbne ataki trwały przez cały ranek. Pojedyncze a'keery odrywały się od zwartej ściany najeźdźców najczęściej w kilku miejscach jednocześnie i cwałowały w stronę barykady, zasypując ją strzałami. Dowodzący zagonem Syn Wojny sprawdzał determinację obrońców, zasięg pułapek i szukał słabych punktów umocnień. Z początku, gdy atakujący zbliżyli się na dwieście jardów, z linii powiązanych wozów sypał się grad bełtów. Trupy ludzi i koni stopniowo otaczały barykadę krwawym półokręgiem. Później obrońcy zmienili taktykę, zwiększając promień ostrzału najpierw do dwustu pięćdziesięciu, później do trzystu i trzystu pięćdziesięciu jardów.

— Wstrzeliwują się — mruknął Czarny Kapitan.

Kucali razem obok powykrećanego pnia górskiej sosny, która jakimś cudem potrafiła zakorzenić się na skale. Kawer Monel wykorzystał chwilę przerwy, by dołączyć do kompanii obsadzającej wzniesienia i rzucić okiem na pole bitwy. Minę miał poważną. Jak na razie Straż nie zdradziła swojej obecności, a Se-kohlandczycy najwyraźniej nie planowali próby obejścia barykady bokiem. Nie było się czemu dziwić. Koczownicy musieli być pewni, że przebiją się pierwszym poważnym szturmem.

A ten nastąpił dwie godziny po świcie. Przy dźwiękach piszczałek i bębnow w kilku punktach otaczającej barykadę armii wszczął się ruch. Stojące do tej pory bezładnie szeregi zwały się, wyrównały, podzieliły na wyraźne oddziały. Jeśli ktokolwiek do tej pory mógłby mieć wątpliwości, że atakują-

cy zagon tworzą znakomici, dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani wojownicy, natychmiast straciłby je na ten widok. Nie przypadkiem już trzeci rok z rządu Imperium przegrywało bitwę za bitwą.

Ruszyli jednocześnie, pięć szerokich i głębokich kolumn, po tysiąc koni każda. Jedna od czoła, dwie kolejne blisko po jej bokach, dwie ostatnie na skrzydłach, niemal wzdłuż skalnej ściany. Z początku jechali wolno, stępa, równiutko, niczym defilująca przed cesarzem imperialna gwardia. Po chwili przyspieszyli, przeszli w kłus, potem w galop. Nawet przyczajeni sto stóp wyżej strażnicy czuli drżenie skał, przenoszących uderzenia tysięcy kopyt. Atakujące na skrzydłach oddziały pierwsze runęły cwałem, zasypując barykadę gradem strzał. Teraz nie było przerwy pomiędzy salwami, deszcz pocisków równomiernie, bez ustanku uderzał o wozy, groty wbijały się w deski, w ochronne zadaszzenia, w tarcze stojącej nieco z tyłu w ciasnym szyku ciężkiej piechoty.

Barykada milczała. Atakujący zbliżali się jak sunąca z pięciu kierunków szarobura lawina, a linia wozów wyglądała na opuszczoną. Z góry widać było, jak piechota z niewzruszonym spokojem przyjmuje na tarcze strzały, jak kusznicy stoją z bronią gotową do strzału, jak drżą napięte do granic możliwości ramiona onagerów i skorpionów. I wszyscy czekają.

A na co oczekują, stało się jasne, gdy napastnicy przekroczyli magiczną do tej pory linię stu jardów. Pierwsze cztery konie w kolumnie atakującej z lewej strony przewróciły się z dzikim rżeniem, wpadając w zamaskowane doły wywiercone przez żołnierzy. Było za późno, żeby się zatrzymać, a prawdę powiedziawszy, nawet nie wyglądało na to, żeby koczownicy mieli taki zamiar. Sto jardów dzielące ich od barykady kosztowało oddział kilkadziesiąt koni, ale atakujący najwyraźniej spodziewali się takich niespodzianek i byli go-

towi na straty. Widać nie pierwszy raz walczyli z meekhańską piechotą.

Omijając przewracające się konie, tratując własnych towarzyszy, jazda runęła na barykadę.

A barykada ożyła. Kusznicy zajęli pozycje i oddali równiutką salwę. Po niej drugą, dziesiątkując atakujących. Ale to był koniec, jedna kompania kuszników to około dwustu ludzi, dwieście beltów, z których co prawda każdy może z łatwością przebić nawet płytową zbroję, ale ponowne naładowanie broni świetnie wyszkolonemu żołnierzowi zajmowało przynajmniej pół minuty.

Dwie salwy oddane z najbliższej odległości zebrały krwawe żniwo, lecz w czasie, gdy kusznicy garbili się, mozolnie kręcąc korbami, atakujący byli już przy barykadzie. Nagle świsnęły liny, na szczyrzące się do koczowników zaostrzone kłody, powbijane przed wozami, zarzucono pętle i szarpnięto. Nie zawsze się udawało, Meekhańscy umieli wkopywać pale w ziemię, niejeden koń przysiadł na zadzie, niejeden jeździec wyleciał z siodła. Ale wiele z pospiesznie przysposobionych dyszli i byle jak ociosanych pni poddało się. W chroniącym barykadę przed bezpośrednim atakiem jeżu pojawiły się pierwsze wyrwy.

Wszystko to trwało dosłownie kilka chwil, w czasie których kusznicy zdążyli zbiec z wozów, ustępując miejsca piechocie. Ciężkie oszczepy pomknęły w stronę jeźdźców, strącając ich z siodła i raniąc konie. Jednocześnie szczęknięły spusty machin i kilka zapalających pocisków spadło na przedpole. Obie atakujące ze skrzydeł kolumny oderwały się od barykady, rozstępując na boki i robiąc miejsce głównym siłom.

* * *

— Byli gotowi na straty, mówię wam, to było widać w sobie, w jaki jechali do ataku. Zwarci, skuleni w siodłach,

z tarczami uniesionymi nad głową. Już nie śpiewali, szli do walki na śmierć i życie. Cholera, z góry wyglądało to głupio, jazda szturmująca okopane wozy, nic durniejszego na świecie nie można było wymyślić. Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Se-kohlandczycy uczyli się atakować takie umocnienia w czasie wojen z Verdanno na wschodnich stepach. Doskonale wiedzieli, jakie są słabe strony takich barykad, zwłaszcza kiedy stawia się je nie ze specjalnie przygotowanych wozów bojowych, tylko z prostych, kupieckich landar.

Porucznik powiódł wzrokiem po zgromadzonych żołnierzach. Prawie cały oddział siedział w pobliżu. Nawet Hawen znalazł wreszcie w strumieniu kamień na stos przy zejściu i przyłączył się do słuchających. Szpiega posadzono nieopodal i przywiązano do drzewa. Kenneth przez chwilę rozważał, czy nie dać znaku do wymarszu, ale to chyba nie był dobry moment. Poza tym mieli naprawdę niezłe tempo, więc mogli jeszcze trochę posłuchać.

Velergorf kontynuował:

— Te sukinsyny potrafiły zdobywać umocnione wozy, i to jak...

* * *

Atakujące kolumny rozdzieliły się, opasując umocnienia ze wszystkich stron. Jeźdźcy wytrzymali grad oszczepów, przyjęli na siebie kolejną salwę z kusz, nie cofnęli się przed ogniem. Sami nie pozostali dłużni, szyjąc z łuków i miotając z najbliższej odległości krótkie dziryty. Przycisnęli piechotę, skupili na sobie uwagę. A wtedy pojawiła się kolejna grupa napastników.

Ci dosiadali ciężkich, masywnie zbudowanych koni, przypominających wierzchowce pancерnej jazdy. Błyskawicznie wyjechali tuż przed wozy i zarzucili na burty zakończone hakami liny. Po trzy, cztery na każdy pojazd. Zawrócili zwierzęta i puścili je w galop. Wszystko stało się tak szybko, że

ledwo kilku z jeźdźców zostało trafionych oszczepami czy bełtami. Nagle cała barykada zatrzęsa się potężnie. Koła wozów, mimo iż zakopane po osie w ziemi, poderwały się w powietrze, zakręciły bezwładnie. Trzaskały wyłamywane deski, pękało drewno. Po chwili, gdy zerwała się większość lin albo połamała część burt, wozy ciężko opadły na swoje miejsce. Nie wszystkie. Dwa, zaczepione szczególnie mocno, przechyliły się na zewnątrz i tak pozostały. Pojazdy zawisły w przechyle, wspierając się tylko na zewnętrznych kołach.

Młody goniec patrzył, jak na jednym z wozów trzech żołnierzy rozpaczliwie tnie liny mieczami, aż ten wreszcie powoli, z wahaniem opadł na cztery koła, zajmując miejsce w szyku. Na drugim był tylko jeden piechur. Wóz był przechylony tak mocno, że burta nie osłaniała go już przed pociskami. Odciął najbliższą linę, rzucił się do następnej i wtedy strzała trafiła go w bark, tuż nad zbyt nisko utrzymaną tarczą. Przyklął, potrząsnął głową jak ranione zwierzę i szerokim ciosem odrąbał drugi hak. Dostał następną strzałę, w bok, zachwiał się, zrobił trzy chwiejne kroki naprzód, jednym ruchem odrzucił tarczę i ujmując oburącz miecz, skoczył ku dwóm ostatnim linom. Rąbnął pierwszą, gdy rzucony dzirynt zadzwonił mu o hełm, poprawił tak potężnie, że ostrze miecza ugrzęzło w drewnie, tuż obok haka. Puścił rękojęść broni i wyszarpnął sztylet.

Trzy strzały trafiły go w pierś, jedna po drugiej, przebijając kolczugę i skórzany pancerz pod nią. Żołnierz upadł na kolana i zaraz wczepił się zakrwawionymi palcami w drewno burty, podciągnął w górę, ciął sztyletem ostatnią linę. Wydawało się, że ostrze ledwo musnęło sznur, gdy ten pękł z dźwiękiem, który przebił się nawet przez hałas bitwy. Wóz opadł z powrotem na swoje miejsce. Natychmiast wspięli się na niego inni piechurzy, w stronę koczowników poleciały oszczepy, pomknęły bełty, maszyny artyleryjskie posłały nad głowami kolejną porcję garnków z mieszanką zapalającą.

Jeszcze przez kilka chwil trwała wymiana pocisków, po czym, na niesłyszalny na górze sygnał, jeźdźcy zawrócili i pogalopowali z powrotem. Linia przed wozami usłana była ciałami ludzi i koni, drzewcami strzał, bełtów i oszczepów, plamami dopalającej się oliwy. Obrońcy też ponieśli straty, co najmniej kilkunastu żołnierzy było martwych lub właśnie dogorywało. Dwa razy tyłu zostało rannych. Varhenn patrzył, jak znoszą z feralnego wozu naszpikowane strzałami ciało, a ręce zaciśnięte na trzonku topora bolały go jak nigdy.

Kapitan popatrzył na niego przenikliwie.

— Chciałbyś tam być, co? Chciałbyś już unurzać to swoje żelazo we krwi. Nie martw się, chłopcze, jeszcze będziesz miał okazję. Zapewniam cię. — Skrzywił się lodowato. — Teraz biegnij do pułkownika i powiedz temu cholernemu piechociarzowi, że powinien zrezygnować z obrony pierwszej barykady. To głupie. Ona jest za bardzo rozciągnięta. Jeszcze jedna taka sztuczka z linami, a przewrócą wszystkie wozy.

— Tak jest!

Darwena-lav-Glasderna znalazł przy machinach. Pułkownik przyciszonym głosem spierał się o coś z dowódcą artylerii, lecz na widok gońca przerwał i uniósł pytająco brwi.

— Kapitan prosił, żeby przekazać, że nie sądzi, aby udało się utrzymać dłużej pierwszą linię.

— Rozumiem. A co powiedział naprawdę? — Po wysłuchaniu oficer uśmiechnął się lekko i mruknął — przekaz dowódcy, że jakiś górolaz nie będzie mnie uczył obrony. To oczywiste, że musimy się cofnąć. Lepiej niech zaczniesz popędzać uchodźców, bo wloką się jak pijane ślimaki. I przy następnym ataku niech się nie krępuje, jeśli starczy mu odwagi, może się przyłączyć.

— Rozkaz!

Czarny Kapitan ciągle tkwił przy powykręcanej sośnie.

— Co powiedział?

— Pan pułkownik dziękuje za sugestię. I tak miał zamiar się wycofać. Prosi o to, aby spróbował pan zwiększyć tempo ewakuacji oraz o wsparcie przy następnym ataku.

— A dosłownie?

Varhenn zacisnął zęby i nie patrząc dowódcy w oczy, powtórzył.

Na przypominającej lodowiec twarzy kapitana, pojawiła się szeroka szczelina.

— Ma jaja. Na lodowe cycki Anday'yi, ma jaja. Ewakuacją dowodzi Dewen Kawacr, a jemu ufam jak sobie. Jeśli trzeba będzie poganiać ludzi bykowcami, zrobi to. Daj znać reszcie, że wszyscy z kuszami mają się znaleźć na górze. Zrobimy naszym gościom niespodziankę.

* * *

Dziesiątnik przerwał, zapatrzył się gdzieś w przestrzeń, potarł siwy zarost przebijający się spod wytatuowanych policzków.

— Przy drugim poważnym ataku pozwolili nam strzelać. Wszystkiego mieliśmy trochę ponad dwieście kusz i każda znalazła się na górze. Było jasne, że kolejnego natarcia barykada nie przetrzyma, tej sztuczki z linami musieli się nauczyć u demonów z samego dna Mroku. Ale i tak widziałem, jak żołnierze szykują się do odparcia następnego szturmu. Pospiesznie naprawiali zerwane połączenia między wozami, przybijali deski do połamanych burt. Inni przynosili i ustawiali na wozach pierwszej linii jakieś dzbany i bukłaki. Za nimi ładowały wiązki drewna i faszyna.

Uśmiechnął się do własnych wspomnień.

— Ależ byłem wtedy młody i głupi. Do końca nie wiedziałem, o co w tym chodzi...

* * *

Drugi atak nastąpił godzinę po pierwszym. Co nie znaczy, że Se-kohlandczycy dali obrońcom całą godzinę wytchnienia. Niewielkie, liczące od kilkunastu do kilkudziesięciu koczowników oddziały szalały po przedpolu, szyjąc strzałami i co chwila pozorując ataki. Najodważniejsi jeźdźcy podjeżdżali nawet na odległość rzutu dzirytem, choć rzadko uchodziło im to płazem. Kusze imperialnej piechoty nie próżnowały.

W głównej armii trwały przetasowania. Oddziały dzieliły się, rozjeżdżały w różne strony, manewrowały. Dwie olbrzymie, liczące po kilkadziesiąt tysięcy zwierząt grupy luzaków odprowadzono na tyły, znacznie uszczuplając siły główne. Ale i tak to, co zostało, mogło budzić grozę. Varhenn prawie zazdrościł piechocie, że obsadzając barykadę, nie ma pełnego widoku na nieprzyjacielską armię. To było zdecydowanie więcej niż trzydzieści tysięcy jeźdźców. Trzydzieści pięć, może nawet czterdzieści, jak oceniał kapitan. Tylko że tak naprawdę nie miało znaczenia, czy jest ich trzydzieści, czy trzysta tysięcy. Następnym atak na pewno przełamie obronę.

— Nie będę wam kazał strzelać salwami ani celować — powiedział im Czarny Kapitan tuż przed szturmem. — Po prostu ładujcie broń tak szybko, jak to możliwe i mierzcie w dół. Macie tylko trafić w całą cholerną armię.

Cała cholerna armia właśnie ruszała do ataku.

Tym razem były tylko trzy kolumny. Dwie z boków i jedna w centrum, za to licząca na oko sześć, siedem tysięcy koni i jadąca w trzech głębokich szeregach. W pierwszym lekka jazda, na czele drugiego znajdowało się kilkuset wyposażonych w haki i liny jeźdźców, dosiadających masywnych koni, trzeci powiewał lasem lanc, błyszczał kolczugami i stalowymi hełmami.

— Jeźdźcy Burzy... — Kapitan zmarszczył brwi, wyraźnie zaskoczony. — Rzucają najlepsze oddziały już do drugiego szturmu. Leć do pułkownika i powiedz mu o tym.

Varhenn ześlizgnął się po linie, niemal parząc sobie dłoń, i pomknął do artylerzystów.

— Gdzie pułkownik?!

— Na pierwszej barykadzie — głos zza czarnej maski był głuchy i zniekształcony. — Ruszaj stąd, chłopcze. Zapalać!

Podpalono szyjki dzbanów założonych na łyżki machin. Kłęby nasiąkniętych żywicą szmat zadymiały i zasyczały, sygnując iskrami. Artylerzysta spojrział na górę, na wznoszącą się nad wejściem skałę, gdzie mała sylwetka wymachiwała właśnie dwoma kolorowymi chorągiewkami.

— Trzysta jardów! Na wprost! Teraz!!!

Uderzenie łyżki o poprzeczną belkę szarpnęło tyłem onagera, cała konstrukcja zatrzęsała się i podskoczyła. Płonący pocisk przeleciał nad barykadą, nabierając wysokości.

— Poziomuj! Równaj! Napinaj!

Zaskrzypiały naciągane liny.

Varhenn biegł już w stronę kolejnych umocnień. W środkowej barykadzie zostawiono przejście o szerokości jednego wozu, gotowe do zastawienia. Gdzieś przed nimi zapalające pociski uderzyły w mur nacierającej jazdy. Rżenie, nie, nie rżenie, wycie ranionych koni słychać było w całej dolinie.

Przed środkową linią obrony zaostrzone pale wbito w ziemię na szerokości czterdziestu stóp. I wciąż dokładano nowe. Pomędzy nimi zostawiono tylko wąską na kilka stóp, dwukrotnie zakręcającą ścieżkę. Do burt kilkunastu tworzących barykadę wozów wciąż przybijano nowe deski, a od przodu podpierano je dziesiątkami belek. Meekhańczycy umieli uczyć się na własnych błędach. Tych wozów na pewno nie przewróci paru konnych.

Pułkownik stał na pierwszej barykadzie i obserwował zbliżającą się kolumnę.

— Wolno idą, jakby na coś czekali — powiedział do towarzyszącego mu porucznika.

— Kapitan prosił, żeby przekazać, że na końcu stoją Jeźdźcy Burzy — goniec powiedział to na jednym oddechu i zmarł. Obaj oficerowie odwrócili się i spojrzeli na niego uważnie. Darwen-lav-Glasdern uśmiechnął się lekko.

— Cicho chodzą ci górale, co?

— Racja, panie pułkowniku.

— Dobrze, zobaczymy. I tak mam zamiar oddać im tę barykadę. — Pułkownik kopnął w jeden z przywieszonych do burty bukłaków. — A przynajmniej to, co z niej zostanie.

Z tyłu ramiona onagerów znów huknęły o poprzeczki i cztery płonące pociski przeleciały nad głowami żołnierzy. Trafiły w środek kolumny, rozpryskując się malowniczo. Kwik koni przebił się przez tętent tysięcy kopyt, lecz na kilka chwil dym litościwie zakrył wszystko. Gdy opadł, kolumna stała w miejscu, rozdzielona na dwie części. W utworzonej pośrodku alejce kręciło się kilku pieszych. Po chwili przyprowadzono do nich pięć koni. Nieosiodłanych, bez wędzideł.

— Żrebiarze... — Porucznik przełknął ślinę i ryknął — szybciej! Ruszać się! Więcej drewna!!!

— Są daleko, sześćset jardów... Mam nadzieję, że Gławeb dobrze wymierzył odległość. Będzie miał nie więcej niż dwa strzały. — Pułkownik już się nie uśmiechał. — No, chłopcze, zmykaj do swojego kapitana. Powiedz mu...

— Nadchodzą...

Z obu skrzydeł narastał tętent kopyt. Także główny oddział powoli ruszył z miejsca, ale Varhenn nie odrywał wzroku od ośmiu ubranych na szaro ludzi pośrodku. Najwyższy z nich podszedł do jednego z koni, przytulił twarz do jego szyi, pogłaskał po chrapach. Nagle mężczyzna klepnął zwierzę w zad i koń ruszył z miejsca. Z każdym susem zwierzę przyspieszało, stępa, kłus, galop. Wyprzedziło czoło oddziału i wyciągnęło się przy ziemi w dzikim cwale. Po chwili to nie był już cwał, tylko coś więcej – bieg, jakby koń poniósł,

mając na grzbiecie stado demonów. Zadarł w górę ogon, wytrzeszczył oczy, wydał z siebie nieziemskie, wyzywające rżenie. Łoskot kopyt tego jednego zwierzęcia zagłuszył wszystko inne, wydawało się, że cały świat umilkł, a nadciągające powoli oddziały znikły.

Mężczyzna, który go posłał naprzód, zastygł w dziwnej pozycji, z rękoma wyciągniętymi przed siebie i dłońmi na wpół otwartymi, jakby przepuszczał przez palce długą linę. Nagle zacisnął dłonie w powietrzu i pociągnął. Szyja konia zgięła się pod kątem prostym, trzasnęły kręgi, zwierzę zaryło łbem w ziemię i przewróciło się na grzbiet, martwe już w chwili, gdy szaman wykonał swój gest. Upadło jakieś dwieście jardów przed barykadą.

Tylko że tętent nie umilkł. Przeciwnie – narastał, potężniał, rósł. Varhenn wytrzeszczył oczy, widząc tuman kurzu podnoszący się z ziemi, w miejscach, gdzie uderzały widmowe kopyta. Dusza, duch konia, zamordowanego przed chwilą czarami szamana, pędziła nadal przed siebie, wprost na barykadę. Prosto na wóz stojący obok...

— Uwagaaa!!!

Kilku żołnierzy w ostatniej chwili uskoczyło w bok. Pale powbijane przed umocnieniem rozprysły się na wszystkie strony, jak piki rozepchnięte końską piersią, i w następnym mgnieniu oka coś rąbnęło w szaniec. Z ogłuszającym hukiem ciężki, kupiecki wóz, skonstruowany tak, by móc przewozić po każdej drodze tysiące funtów towaru, wyleciał w powietrze, wyrwany z linii. Wiążące go z resztą barykady sznury i łańcuchy popękały jak lniane nici, a deski, gwoździe, kawałki drewna pofrunęły na wszystkie strony. Wóz obrócił się w powietrzu kilka razy i grzmotnął o ziemię, koziółkując bezwładnie. Zatrzymał się dopiero tuż przed linią ostrokołu chroniącego drugą barykadę.

Sto stóp, przemknęło przez głowę gońcowi. Przeleciał ponad sto stóp... Wielka i Miłosierna Pani!

W zrobionym wyłomie mogło się zmieścić sześciu jadących strzemię w strzemię konnych.

— Następny!

Drugi koń wyprzedził właśnie nadciągający oddział i wywał przed siebie w obłąkańczym cwale. Sto jardów za nim kolejny szaman przepuszczał przez dłonie niewidzialną linię. Koń pędził wprost na wóz, na którym stał Varhenn i dwaj oficerowie.

Za nimi coś brzęknęło i tuż nad barykadą śmignęła strzała wielkości sporego dzirytu. Pocisk miał jaskrawo pomalowane lotki, był wyraźnie widoczny na tle nieba. Gdzieś w połowie odległości między wozami a zgromadzoną armią osiągnął szczyt paraboli i zaczął obniżać lot. Jeden z pancernych jeźdźców przejeżdżających właśnie obok źrebiarzy zniknął jak zdmuchnięty z siodła.

— Muszą nanieść poprawkę. I lepiej, żeby nie chybili.

Po chwili jedenaście skorpionów wystrzeliło salwą. Długo na pięć stóp pociski pomknęły w stronę szamanów. Ten, który trzymał na niewidocznej uwięzi cwałującego konia, zgiął się nagle w pół, przycisnął ręce do brzucha, przewrócił, zadygotał. Stojący obok czarownik złapał się za udo, w które wbiła się ciężka strzała. Dwa z pięciu przygotowanych do poświęcenia koni również zostały trafione, jeden stanął dęba, zatańczył na tylnych nogach i zwałił się na ziemię, drugi wpadł pomiędzy jeźdźców, roznosząc chaos i zamieszanie. Najwyższy ze źrebiarzy, ten, który pierwszy poświęcił konia, zamachał rękoma, wydając jakieś rozkazy. Szeregi ciężkiej jazdy zwarły się przed czarownikami, osłaniając ich własnymi ciałami. Tarcze powędrowały w górę.

— No, to źrebiarzy mamy na razie z głowy. — Pułkownik otrzepał jakieś drzazgi z płaszcza, poprawił tarczę na ramieniu. — Została reszta.

Reszta właśnie runęła do ataku. Najpierw ze skrzydeł wypadła lekka jazda, zasypując wszystko strzałami. Varhenn

skulił się przy burcie, słuchając łoskotu gradu pocisków uderzających o drewno. Część z nich leciała niemal pionowo w górę, żeby potem spaść wprost na żołnierzy. Dwie strzały, jedna po drugiej, wbiły się tuż obok chłopaka. Kolejny pocisk zrykoszetował o hełm i ześlizgnął się po kolczudze. Varrhenn gdyby mógł, wpełzłby pod wóz.

Nagle coś znalazło się nad jego głową. Pułkownik oparł krawędź tarczy o burtę, tworząc prowizoryczny daszek. Drugi oficer dołączył do niego. We trzech schronili się pod spodem. Na wozach zadudniły ciężkie buty i po chwili cała barykada została obsadzona żołnierzami. Piechota opierała ciężkie tarcze w ten sam sposób, co jej dowódca, kusznicy kucali przy żołnierzach lub chronili się pod daszkami. Grad strzał jakby zelżał.

— Kusznicy! Teraz!

Dwustu strzelców wychyliło się zza osłon w chwili, gdy do barykady zbliżała się ława wywracaczy wozów. Żołnierze oddali salwę niemal wprost w końskie piersi, mierząc właśnie w zwierzęta. Kilkadziesiąt wierzchowców zarżało jednym głosem i upadło, bełty z ciężkich kusz, przystosowane do przebijania płytowych zbroi, nierzadko całe znikwały w końskich ciałach. Po salwie kusznicy zarzucili broń na ramiona i runęli w stronę drugiej barykady. Do walki weszła piechota.

Na barykadzie mogła jednocześnie zmieścić się nie więcej niż jedna kompania. Druga stała z tyłu, wspomagając obronę salwami oszczepów. Ciężkie pociski mknęły ku napastnikom, zabijając lub raniąc ludzi i zwierzęta. Żołnierzom jednak nie udało się powstrzymać wszystkich atakujących, dziesiątki haków załomotało o burty, dziesiątki lin naprężyło się i szarpnęło potężnie. Kilka wozów, osłabionych poprzednim szturmem, przewróciło się na zewnątrz linii, piechurzy, którzy nie zdążyli z nich zeskoczyć, zostali w mgnie-

niu oka wyróżnieni. W barykadzie powstało kilka następujących wylomów.

Varhenn cofał się już wtedy wraz z pułkownikiem w stronę drugiej barykady i miał okazję z bliska podziwiać sprawność imperialnej piechoty. Na znak dowódcy zagrała trąbka i mniej więcej połowa żołnierzy opuściła barykadę, rzucając się biegiem w stronę przejścia w ostrokole. Kompania stojąca za nimi zwarła się, opancerzyła tarczami. Trąbka zagrała po raz kolejny, a reszta żołnierzy oderwała się od wozów i runęła do tyłu. Stojący oddział przepuścił ich za siebie i ponownie zajął pozycję. Gонец stał obok pułkownika, tuż za potrójnym szeregiem piechoty. Drugi oddział zatrzymał się za nimi. Dlaczego się nie wycofują?, zdążył pomyśleć w chwili, gdy w wyrwach pojawili się pierwsi jeźdźcy. Długie lance trzymali wysoko i po kilku naraz wjeżdżali w wylomy. Mieli kolczugi, hełmy i tarcze z wymalowanym symbolem potrójnej błyskawicy, a ich konie nosiły ciężkie, pikowane pancerze. Imperialna armia wiedziała już, że znak błyskawicy nosiła elita wśród koczowników, Jeźdźcy Burzy, przyboczna gwardii Ojca Wojny wszystkich se-kohlandzkich plemion. Jedyne oddziały najeźdźców, które potrafiły rzucać się na meekhańską piechotę i rozbijać ją we frontalnych atakach.

Bez chwili wahania konni runęli na ścianę tarcz. Salwa oszczepów zmiotła kilku z sodeł, raniła parę koni, a w następnej chwili lance uderzyły o pawężę. Ich drzewca pękały, prawie zawsze pękały, lecz impet uderzenia przewracał żołnierzy, zmuszał do cofania się, łamał szyk. W powstałe szczeliny wjeżdżały konie, rozpychając piechotę swoją masą, a ciężkie szable i topory na długich styliskach dzwoniły po hełmach i tarczach. Żołnierzom brakowało pik, włóczni, rohatyn i gizarm, które pozwalały walczyć z jazdą na dystans. Krótkie miecze, używane do starć w ciasnocie, gdy od przeciwnika dzielił cale, były niewystarczające. Wydawało

się, że piechota zostanie przyparta do zaostrzonych pali i wyrżnięta. W tej chwili barykadę sforsowało prawie dwustu konnych, a przez wyłomy wdzierali się już kolejni.

Pułkownik zachowywał spokój. Paroma oszczędnyymi ruchami posłał naprzód kilkunastu żołnierzy, wspierając chwiejącą się linię. Dał znak w stronę drugiej barykady. Brzęknęły kusze. Sto zapalonych bełtów trafiło w wozy opuszczonego szańca, tam, gdzie tuż przed atakiem znajdowały się dzbany i bukłaki. Wszystkie były już rozbite lub podziurawione przez wycofujących się piechurów. Zgromadzone przed wozami stosy drewna i suchych gałęzi zapłonęły niemal natychmiast. Konie wjeżdżające przez wyłomy zarżały, stanęły dęba i cofnęły się przed żarem.

Kusze szczęknęły ponownie i kilkudziesięciu jeźdźców uwięzionych wewnątrz płonącego półkola bezwładnie zważyło się z siodeł.

— Tarcze! Dach!

Tarcze piechurów znajdujących się tuż przy koniach powędrowały nad głowy. Nagle napastnicy, którym już musiało się здаwać, że przebili się przez piechotę, znaleźli się w sytuacji kogoś, kogo wierzchowiec zapada się po grzbiet w lotne piaski. Tarcze piechoty tworzyły równą powierzchnię bez szczelin, w które można by wepchnąć sztych, a cięcie w nie szabłą czy cios toporem nie miały szansy nabrać odpowiedniego impetu. Przez parę chwil Jeźdźcy Burzy tłukli rozpaczliwie w tę zaporę, potem nagle jeden, drugi i trzeci koń zarżał i zważyło się na ziemię. Na oczach Varhenna pod ochronny dach wśliznęło się dwóch żołnierzy, trzymających oszczepy oburącz, niczym ciężkie włócznie. Błyskawicznie przemknęli między swoimi towarzyszami, dopadli konia i zadali podwójne pchnięcia, od spodu, tuż poniżej pikowanego pancerza. Zwierzę charknęło, jakby zaskoczone, parsknęło krwawo, strumień jasnej krwi buchnął mu chrapami i pyskiem, i zważyło się na ziemię. Jego jeźdźca zabito, zanim

zdołał stanąć na nogi. W mniej niż pół minuty wszyscy koczownicy, którzy wdarli się w głąb szyku, byli martwi. Tak jak ich konie.

— Ściana!

Linia się wyrównała. Żołnierze ścieśnili się tak, że między tarcze nie wetknęłoby się nawet czubka noża. Płazy mieczy uderzyły o solidnie okute górne krawędzie tarcz i z przeszło trzystu gardeł rozległ się wściekły, wyzywający ryk. Siedemnasty Pułk miał dwustuletnią tradycję i był dumą Ósmego Regimentu Pieszego, żadni cholerni koniarze nie będą traktować ich jak mięsa do tępienia mieczy.

Jeźdźcy Burzy znaleźli się w pułapce bez wyjścia i najwidoczniej mieli już dość. Z barykady bez przerwy zasypywano ich bełtami, szyjąc z odległości kilkudziesięciu kroków wprost w widoczne na tle ognia sylwetki. Z góry, ze skalnych ramion wznoszących się nad wejściem, także sywał się grad pocisków. Co rusz któryś z jeźdźców walił się na ziemię, sam lub razem z koniem. Odgródzone pierścieniem płonących wozów siły topniały w oczach. Ostatnich kilkudziesięciu koczowników miotało się po całym terenie, próbując wydostać się z pułapki. Wyłomy zrobione w barykadzie miały kilka jardów szerokości, lecz przed większością z nich ułożono dodatkowe stosy drewna i gałęzi, które teraz płonęły nie gorzej niż same pojazdy. Tylko w miejscu, gdzie dokonano magicznego ataku, drewna już nie było, zostało zdmuchnięte razem z wozem. I właśnie tam ocalali jeźdźcy szukali ucieczki.

Darwen-lav-Glasdern nie zamierzał im na to pozwolić.

— Kompania! Naprzód! Biegający grad!

Stojące w pierwszej linii szeregi rozluźniły się, przepuszczając drugą kompanię. Żołnierze sprawnie uformowali luźny szyk i ruszyli do ataku. Pierwszy szereg rzucił swoje oszczepy i zatrzymał się. Drugi minął go, oddał salwę i również stanął, trzeci, czwarty i piąty powtórzyły atak. W chwili

li, gdy ostatni szereg rzucał oszczepy, żołnierze pierwszego zwarli tarcze i wyciągnęli miecze...

* * *

Velergorf przymknął oczy i westchnął ciężko.

— Na jaja Dzikiego Byka! Nie potrafię tego lepiej opisać. Pierwszy szereg rzuca oszczepy i staje, mija go szereg drugi, rzuca i staje, mija je trzeci, rzuca i staje... I tak do ostatniego żołnierza. Biegący grad, tak to nazywają, i tylko raz widziałem to natarcie na własne oczy, właśnie u wejścia do doliny Wares. Jeśli dobrze wykonać tę sztuczkę, to ostatni oszczep jest rzucony w chwili, gdy pierwszy jeszcze leci, a zanim przeciwnik otrząśnie się, kompania zwiera szyk i uderza na niego całą siłą. Tak było i tam, w dniu, gdy pokazaliśmy Se-kohlandczykom, że potrafimy być równie okrutni i bezwzględni jak oni...

Kenneth zapytał:

— Brałeś udział w tym ataku?

Dziesiętnik uśmiechnął się szeroko.

— A jak. Ruszyłem naprzód razem z pułkownikiem, który dowodził drugą, ubezpieczającą atak kompanią. Nic nie mogło mnie wtedy powstrzymać...

* * *

Żołnierze przycisnęli Błyskawice do wyłomu. Tym razem sytuacja odwróciła się, to koczownicy nie mieli gdzie się cofnąć, drogę zagradzała im ściana ognia z jednym tylko wąskim przejściem, przez które mogli wymykać się pojedynczo, bo żar bijący od płonących wozów zawęził drogę ucieczki do kilku stóp. Grad oszczepów odniósł przerażający skutek, jeźdźcy i konie padali, tworząc płataninę ciał, miotających się we krwi i błocie. Z dwustu Jeźdźców Burzy zostało niespełna sześćdziesięciu, reszta była już martwa lub umierająca, lecz ci, którzy utkwili pomiędzy płonącymi wo-

zami a ścianą z tarcz i mieczy imperialnej piechoty, w końcu przestali szukać drogi odwrotu. Zawrócili konie i stawili czoło atakującym Meekhańczykom. Długie lance pochylły się w stronę wroga. Żołnierze roztrącili je tarczami i przypadli do koni.

— Tarcze! Dach!

Tarcze powędrowały nad głowy. Wyszkolone do walki konie próbowały kąsać lub stając dęba, uderzać kopytami, lecz bezskutecznie. Piechurzy z pierwszej linii skupili się tylko na trzymaniu tarcz na odpowiedniej wysokości, a tymczasem druga linia ruszyła do ataku. Żołnierze przemykali pod tarczami towarzyszy i doskakiwali do koni, wbijając oszczepy i miecze w piersi lub tnąc po pęcinach. Pikowane pancerze nie chroniły dostatecznie przed silnym pchnięciem z bliska, a pasy skóry owinięte wokół nóg nie były przeszkodą dla ostrzy. Rzenie i kwik ranionych koni zapewne dało się słyszeć aż na szczycie Łysicy.

W kilka chwil cały pierwszy szereg zwałił się na ziemię, a piechota runęła naprzód, w biegu dobijając jeźdźców i konie. Varhenn trzymał się z tyłu, wiedząc, że w tłoku i ciasnocie bezpośredniego starcia jego topór będzie tylko zawadzał. Nagle wszystko się przemieszało, piechurzy, koczownicy, zwierzęta. Część jeźdźców, których konie zostały ranione, zeskoczyła na ziemię, aby walczyć z przeciwnikiem pieszo. Lecz w walce w tłoku i ścisku meekhańska piechota nie miała sobie równych. Ciężka tarcza osłaniała niemal całego żołnierza, a zza niej w błyskawicznych sztychach wysuwała się klinga miecza. Piechurzy dążyli do zwarcia, do skrócenia dystansu, kiedy nie sposób zamachnąć się ciężką, długą szablą czy toporem. Uderzali tarczami, przewracając przeciwnika lub łamiąc mu kości. Zabijali szybko i sprawnie, jak tylko zawodowi żołnierze potrafią. W kilka minut było po wszystkim.

— Zwrot! — zawołał porucznik.

Piechota cofnęła się z pobojowiska, zostawiając na zakrwawionej ziemi ponad dwie setki martwych koczowników. O ile mógł stwierdzić, tylko kilku żołnierzy zostało rannych w bezpośrednich starciach. Gdy Meekhańczykom udało się narzucić wrogowi własne reguły walki, ich wyszkolenie i uzbrojenie zamieniało każdy oddział w maszynę zniszczenia.

Zbliżało się południe i jak na razie dzień przyniósł zwycięstwo Siedemnastemu.

* * *

— Więc tak naprawdę nie walczyłeś?

— Wtedy nie, panie poruczniku. Stałem tylko z tyłu i ścisnąłem w rękach stylisko, jak kto głupi. Tak jak mówiłem, raczej bym im przeszkadzał, próbując wejść w tłum i prosząc, żeby zrobili mi miejsce do zamachu toporem. Zresztą byłem gońcem, a goniec nie pcha się na pierwszą linię. Ale — Velergorf uśmiechnął się kwaśno — miałem nadzieję, że może któryś się wyrwie albo coś...

— Koczownicy powinni użyć swoich szamanów.

— Też się nad tym zastanawialiśmy, wtedy. Spodziewałem się lada chwila ognistego deszczu lub hordy demonów przywołanych zza Mroku. Ale teraz już wiem, dlaczego ich oszczędzali.

— Dlaczego?

— Żrebiarz to nie byle czarodziej, to ktoś taki jak nasz wielki mag bitewny, jak Venrys Okelan czy Jowel-les-Kreab. Dobrze użyci w bitwie są warci więcej niż tysiąc ciężkozbrojnych jeźdźców. Ale strata każdego to duży cios dla armii. Ten zagon, w chwili gdy stawał do bitwy z Siedemnastym i Dwudziestym Trzecim, miał podobno jedenastu żrebiarzy. Tam stracili trzech. Potem, w krótkim starciu przy szturmie barykady, dwóch następnych. Dopóki mieliśmy skorpiony i być może jakiegoś czarodzieja w odwodzie, se-kohlandzki

dowódca nie chciał ich narażać. Dla niego mniejszą stratą było trzysta Błyskawic niż jeden żrebiarz.

Dziesiątnik przeciągnął się potężnie, aż coś trzasnęło mu w ramionach, i spojrzał pytająco na Kennetha.

— Tak, tak. Wiem, Varhenn. Zbierać się! Za chwilę ruszamy!

Oddział podniósł się i uformował luźny szyk. Więźnia postawiono na czele grupy. Porucznik obrzucił go wzrokiem. Mimo prawie półgodzinnego odpoczynku szpieg nie wyglądał wiele lepiej.

— Zaczynamy wolno. Bieg dopiero za Rozstajami — zdecydował.

Czekały ich trzy mile marszu. Żołnierze momentalnie skupili się wokół Velergorfa.

* * *

— Dobrze się spisali.

Czarny Kapitan nie zmienił miejsca, odkąd Varhenn poszedł wykonywać rozkazy. W dłoniach wciąż trzymał kuszę.

— Lepiej, niż mógłbym przypuszczać — dodał. — Będą bronić drugiej barykady?

— Tak powiedział pułkownik. I prosił, żeby przekazać, że będzie wdzięczny za każdy bełt i pocisk, który wystrzelimy. Oraz że jego zdaniem uchodźcy nadal wchodzą na górę zbyt wolno.

— A dosłownie?

Varhenn opuścił wzrok, zakłopotany.

— Powiedział: „Przełącz swojemu kapitanowi, żeby strzelali wszystkim, co mają, nawet jeśli miałyby użyć własnego łąba. Aha, i powiedz mu, że ci na szlaku chyba zrobili sobie przerwę na obiad” — zacytował.

— Dobrze. — Oszczędnym, chłodnym uśmiechem wykrzywił wargi kapitana. — Posłałem na Łysicę wszystkich ludzi, którzy nie mają kusz w rękach. Pogonimy ich. Chodź no tu.

Varhenn podszedł do krawędzi skały.

— Patrz.

Pierwsza barykada dopalała się powoli. Wokół niej piętrzyły się stosy trupów, zryta kopytami ziemia wyglądała jak świeżo zaorane pole, na którym zakiełkowało właśnie dziwaczne zboże – strzały, bełty i oszczepy. Po wewnętrznej stronie ognistego półokręgu kilkudziesięciu żołnierzy zbierało pospiesznie ten plon, wrywając groty z ziemi i z ciał. W meekhańskiej armii każdy pocisk był wykorzystywany tyle razy, ile razy dało się go odzyskać.

— Nie tam. Na nich.

Varhenn oderwał wzrok od krzątający żołnierzy i przeniósł go dalej. Koczownicy szykowali się do kolejnego ataku. I tym razem było widać, że podchodzą do sprawy poważnie. Podzielili się na wyraźne oddziały, liczące na oko około tysiąca ludzi, między którymi bez przerwy kursowali gońcy. Co najmniej trzy kilkusetosobowe grupy zmierzały w stronę najbliższego lasu; pośrodku całej armii, wewnątrz pustej przestrzeni, naradzało się około dwudziestu jeźdźców.

— Syn Wojny, kilku jego dowódców i jeśli mnie wzrok nie myli, żrebiarze. Wiedzą już, że nie zdobędą wejścia do doliny z marszu, więc szykują się do walki na poważnie. Jeśli sądzisz, że poprzedni atak był potężny, to zobaczysz, co tu się będzie działo za godzinę.

— Po co to robią? To znaczy, panie kapitanie, dlaczego koniecznie się tu pchają? Mają całą prowincję dla siebie...

Kawer Monel splunął przez zęby.

— Gównu mają. Rozmawiałem z paroma sołtysami i burmistrzami. Te pożary, które widzieliśmy, to nie koczownicy. My je rozpaliliśmy. Takie były rozkazy gubernatora: wycofać się i zostawić im zgłiszcza i ruiny. Uciekinierzy zniszczyli wszystko, czego nie mogli ze sobą zabrać. Przywieźli do tej doliny cały majątek, złoto, srebro, klejnoty, drogie tkaniny, przyprowadzili najlepsze zarodowe stada. Najpewniej za na-

szymi plecami jest teraz więcej dobra niż w cesarskim skarbcu. I oni — skinął głową w stronę szykującej się do bitwy armii — dobrze o tym wiedzą. Na dodatek widzą, jak wszystko to wycieka im za Mały Grzbiet. Muszą przed wieczorem zdobyć dolinę.

— Nie zdobędą.

Spojrzenie dowódcy prześliznęło się po twarzy chłopaka.

— Byłeś na dole i dopadła cię gorączka bitewna, co? Przeżyłeś pierwsze starcie bez zadrapania i wydaje ci się, że będziesz żył wiecznie? Coś ci powiem, chłopcze. Ci żołnierze na dole najpierw maszerowali całą noc i cały dzień, żeby się tu dostać, następną noc okopywali się bez chwili przerwy, a dziś od samego rana walczą. Już są śmiertelnie zmęczeni, a do wieczora będą martwi. Se-kohlandczycy nie odpuszczą im teraz, będą atakować raz za razem, aż piechota ze zmęczenia nie będzie mogła unieść tarcz i mieczy. I wtedy, być może, wreszcie okrwawisz to swoje żelazo. A teraz leć do pułkownika i powiedz mu, że nie będzie miał już dziś chwili odpoczynku. A potem znajdź porucznika Kawacra i powiedz mu, żeby zwiększył tempo. Nawet jeśli miałby popędzać ludzi batem. Odszukaj też czarodzieja, niech sprawdzi, jak idzie wybijanie zwierząt. Cholera... Potrzebuję jeszcze jednego lub dwóch gońców, a mam tylko ciebie. Tu każda kusza, a przy wejściu każda para rąk jest potrzebna... No nic, musisz na razie wystarczyć. Biegiem!

— Tak jest!

* * *

Dziesiątnik zamilkł, ale jakoś nikt nie chciał go poganiać. Przez chwilę maszerowali w milczeniu.

— Rzeźnia — mruknął wreszcie. — Rzeźnia, która odbywała się przy wejściu do doliny, była niczym w porównaniu do tego, co działo się w jej głębi. Wszystkie zwierzęta zapędzono w jedno miejsce i około stu ludzi z toporami i ciężki-

mi nożami w rękach brodziło po kostki w ziemi rozmięklej od krwi, zabijając jedno po drugim. Podrzynali gardła, rozwalali głowy i szli dalej, zostawiając na ziemi drgające jeszcze truchła. Ci ludzie... mieli martwe twarze. Nie sądzę, żeby którykolwiek z nich dobrze sypiał przez następne miesiące. A owce, krowy i kozy zamiast rozbiec się na wszystkie strony, stały przemieszane, oniemiały z przerażenia, robiąc pod siebie. I niech nikt, kto tego nie widział, głupio się nie uśmiecha. Zwierzęta mogą oniemieć z przerażenia, zupełnie jakby krąg krwi i ciał, który przypierał je do skalnej ściany, miał jakieś magiczne właściwości, uniemożliwiające ucieczkę. A zresztą, może i tak było? Wszystkim kierował czarodziej, a jego niebieska szata niemal po pas ubabrana była posoką. Na mój widok machnął tylko ręką i kazał się wynosić. Jak zobaczycie kiedyś u czarownika taki wyraz oczu, będziecie wiedzieć, że nie należy dyskutować. Miałem wrażenie, że powietrze wokół niego tańczy i wiruje. Smród krwi, żółci i gówna niemal nie pozwalał oddychać... Uciekłem stamtąd, najszybciej jak się dało.

Kenneth rozejrzał się wokół. Za jakieś pół mili były Rozstaje, gdzie droga odbijała na wschód. Stamtąd do Belenden było już blisko.

— Na szlaku trwała wspinaczka. — Varhenn uśmiechnął się samymi ustami. — No niezupełnie. Na szlak, na tę wąską, wrzynającą się zakosami w górę drogę pchało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Chłopi, kupcy, rzemieślnicy, szlachta. Chyba po raz pierwszy w życiu wszyscy byli równi w prawach i obowiązkach. Mieli jedno prawo – iść w górę, i jeden obowiązek – iść w górę. Zbocza wzdłuż drogi obrodziły tobołami i pakunkami, które okazały się zbyt ciężkie, aby je wnosić. Ludzie kłęli, płakali, mamrotali pod nosem, ale wspinali się jeden za drugim. A ścisk i tłok... Do tej pory opowiadają sobie legendę o jakimś kupcu, który zmarł po drodze, ale ścisk był tak wielki, że nie upadł, tylko został przez tę ludz-

ką rzekę wyniesiony na samą górę i dopiero tam się przewrócił. Po usunięciu wozów tempo było dwa razy szybsze, ale i tak co najmniej połowa uchodźców tłoczyła się wciąż u podnóża Łysicy. Nawet nie próbowałem przekazać rozkazów kapitana. Sam cesarz nie zmusiłby tego tłumu do szybszej wspinaczki...

Dziesiętnik poprawił pas z toporem, oczy mu pociemniały, a na pokrytym niebiesko-czarnym tatuażem czole pojawiły się zmarszczki.

— I wtedy, gdy byłem pod górą, zaczął się kolejny atak. Ten, który miał być poważny...

* * *

Ramiona onagerów huknęły o poprzeczne belki i cztery płonące dzbany śmignęły nad barykadą. Zaraz po nich brzęknęły skorpiony. Machiny podskoczyły na swoich stanowiskach i momentalnie obleźli je artylerzyści. Zaskrzypiały naciągane liny. Na pierwszy rzut oka widać było, że ich załogi w niczym nie ustępują sprawnością piechocie, żaden gest, żaden ruch nie był bezcelowy, wszyscy znajdowali się na swoich miejscach i działali jak jeden mechanizm.

Przynajmniej tak to wyglądało dla młodego gońca z Górskiej Straży.

Zanim przebiegł jedną trzecią drogi z powrotem, maszyny oddały następną salwę. Gdy odnalazł dowódcę Siedemnastego, trzecią. Wszystko z dokładnością do jednego uderzenia serca. Pułkownik rzucił mu kilka zdań i wysłał na górę. Rola gońca okazywała się piekielnie męcząca.

Złapał za linę i zaczął wspinaczkę, zastanawiając się, ile jeszcze razy będzie dziś tą drogą wchodził i schodził.

Na górze powitał go grad strzał. Koczownicy zorientowali się, że na skałach wokół wejścia usadowili się jacyś strzelcy. Jeśli ktoś miał nadzieję, że sto stóp wysokości zabezpieczy żołnierzy przed pociskami, to kompozytowe, refleksyjne

łuki konnych rozwiały jego nadzieję. Strzały leciały w niebo tak wysoko, że niemal ginęły z oczu. Przez chwilę zawisały nieruchomo, po czym obracały się powoli i mknęły ku ziemi, nabierając prędkości. Dziesiątki strzał z dziesiątków łuków w każdej sekundzie. Strażnicy szukali ochrony pod rachitycznymi drzewami, między skałami, wpełzali w każdą szczelinę. Ci, którzy mieli tarcze, mogli uważać się za szczęściarzy.

Lecz Górska Straż walczyła i tak. Kusze napinano regularnie, co chwilę kilku, kilkunastu żołnierzy wychylało się zza osłon i strzelało. Kwik i rżenie koni świadczyły, że całym celnie.

Kapitan leżał na samej krawędzi skalnej ściany i obserwował bitwę. Całkowicie ignorował padające wokół strzały. Varhenn zdał mu krótki raport.

— Tak myślałem. Co dokładnie powiedział ten piechociarz?

— Przekaż swojemu dowódcy, że wiem, niech mnie nie uczy. I powiedz, że jak przełamię drugą barykadę, ma się wycofać, to rozkaz.

— Jak przełamię, co? Nie — jeśli przełamię. I zaczyna wydawać mi rozkazy... Rzeczywiście, wstąpił już na drogę do Domu Snu. Pewnie stąd taka odwaga. Patrz.

Goniec położył się obok, choć wszystko w nim krzyczało, że leżąc, zwiększa ryzyko zarobienia strzały. Zapomniał o tym, gdy tylko spojrzał na dół.

Jazda zgrupowała się na skrzydłach, ostrzeliwując głównie Straż na skalnych ramionach. Tymczasem w centrum trwały przygotowania. Koczownicy całkowicie ignorowali pociski z machin, ot, od czasu do czasu jakiś dzban eksplodował chmurą ognia lub salwa ze skorpionów przeczesiała szeregi. Stali w miejscu twardo, jak najlepsze oddziały Imperium.

— Dobrzy są. — Kapitan skinął głową z niechętnym uznaniem. — Kilka machin ich nie wystraszy.

Nagle centrum zakotłowało się i na czele se-kohlandzkiej armii pojawiły się setki pieszych, dźwigających przed sobą wiązki faszyny. Ruszyli biegiem naprzód.

— Będą atakować pieszo. I już ustalili graniczny zasięg.

— Czego?

— „Czego, panie kapitanie”, strażniku. Nie zapominaj o formalnościach. Zasięgu skorpionów. One wszystkie strzelają dość płasko, na dodatek nad dwiema barykadami. To znaczy, że pociski nie mogą spaść bliżej niż trzysta, czterysta jardów przed nimi. Onagery mają minimalny zasięg sto pięćdziesiąt jardów, chyba że zaryzykują trafienie własnych żołnierzy. Gdy te dzikusy zbliżą się na taką odległość, pozostaną nam tylko kusze.

Atakujący pieszo koczownicy poruszali się szybko i w miarę, jak zbliżali się do resztek pierwszej barykady, ścieśniali szyk. Gdy byli jakieś trzysta jardów od umocnień, dostali salwę z ciężkich kusz. Bez widocznego rezultatu.

— Za wcześnie, cholera, za wcześnie. Założę się, że ci w pierwszych szeregach noszą dwie albo trzy przeszywanice, nałożone na kolczugi. Nawet jeśli belt przejdzie przez faszynę, nie ma potem dość siły, żeby przebić taki pancerz. Trzy lata walczą z imperialną piechotą i niejednego już zdążyli się nauczyć.

Nacierający przebyli kolejne sto jardów. Szli teraz spokojnie, ramię przy ramieniu. Cztery płonące dzbany eksplodowały w kolumnie, zbierając swoje żniwo, lecz wyrwy zatkało w kilka sekund. Sto pięćdziesiąt jardów.

Kolejna salwa uderzyła w ścianę powiązanych razem gałązek. Tym razem kilku atakujących potknęło się, upuściło wiązki, przewróciło. Natychmiast zastąpili ich inni i na niesłyszalny na górze sygnał cała kolumna rzuciła się biegiem naprzód. W chwili, gdy przekraczali linię spalonej pierwszej

barykady, dostali ostatnią salwę, ale to już nie miało znaczenia. Około tysiąca koczowników runęło w stronę przejścia, z tysiąca gardeł rozległ się dziki ryk. W kilka uderzeń serca byli przy drugiej linii umocnień i osłaniając się faszyną, zaczęli rąbać i przewracać zaostrome pale. Za pierwszą linią atakujących pojawili się łucznicy, szyjący z odległości kilkadziesiąt kroków wprost w barykadę. Każdy żołnierz, który wystawiłby głowę zza osłony, straciłby ją. Na kilka chwil impet ataku odebrał meekhańskiej piechocie inicjatywę.

Wśród obrońców zakotłowało się, kusznicy porzucili stanowiska, ustępując miejsca piechocie. Ta barykada była najwęższa, liczyła niespełna siedemdziesiąt kroków, więc na wozach pozycje zajęła tylko połowa kompanii. Reszta, ponad dwustu pięćdziesięciu piechurów, ustawiła się z tyłu. Z góry ich linia wydawała się żałośnie cienka w porównaniu z kłębiącym się po drugiej stronie tłumem.

Ruszyła druga fala koczowników, zaopatrzona w prymitywne drabiny. Ci, ponieważ ostrzał z barykady niemal ustał, nie nieśli nawet tarcz. Strzelcy z Górskiej Straży mieli ułtwnione zadanie. Ich bełty powalały jednego Se-kohlandczyka za drugim, lecz na miejsce każdego zabitego pojawiała się dwóch następnych. Varhenn przeniósł wzrok ponad walczącymi i cicho westchnął. Olbrzymia armia stojąca przed doliną wydawała się niemal nieuszczuplona.

— Trzy tysiące, nie więcej — mruknął kapitan. — Tylko tyłu poszło do ataku. Mają jeszcze pewnie w rezerwie drugie tyle konnych, którzy – gdy barykada zostanie zdobyta – ruszą, żeby wpaść do doliny i odciąć drogę na górę. Reszta stoi i czeka, by zacząć brać łupy. Niech to szlag! Kusze strzelają za wolno. Oddałbym rękę za trzy setki dobrych łuczników!

Druga linia koczowników dotarła do barykady i wsparła atakujących. Większość zaostzonych pali została już wyrwana lub przewrócona, po chwili około trzydziestu drabin stuknęło o burty wozów. I jakby to był sygnał – milcząca do

tej pory barykada ożyła. Stojący w rezerwie piechurzy posłali nad nią salwę oszczepów, potem drugą i trzecią. Z takiej odległości ciężkie pociski przebijały skórzane zbroje Se-kohlandczyków na wylot. Tłum atakujących zakłębił się, zagotował, ryknął niemal jednym głosem. Żołnierze, którzy obsadzali wozy, wychylili się zza burt i rzucili swoje oszczepy prosto w twarze atakujących. Niemal wszyscy wspinający się na drabiny napastnicy zostali zmieceni w dół. Łucznicy, wspierający atak, nawet nie zdążyli wymierzyć we wroga.

W tej samej chwili szczęknęły zapadki onagera i płonący pocisk, powoli, leniwie płynąc w powietrzu, zatoczył płaski łuk i niemal zahaczając o szczyt barykady, rozprysnął się kilkanaście kroków przed nią. Ogień pochłonał zarówno żywych, jak i martwych.

Tego było za wiele – atak się załamał. Se-kohlandzycy odskoczyli od powiązanych wozów i ścigani beltami rzucili się do ucieczki. Zaraz po nich wycofała się ostrzeliwująca skalne ramiona konnica. Mieli chwilę spokoju.

— Niezły strzał... — Kawer Monel wstał, niedbałym ruchem otrzepał spodnie. — Napięli machinę na trzecią część siły. Dobra sztuczka, ale jak mówiłem, desperacka. Na trzy strzały jeden jak nic trafi w barykadę, bo nie da się dobrze wycelować. Sporo ryzykowali ci cholerni artylerzyści. Powiedz pułkownikowi, że rannych może wysyłać na górę poza kolejnością.

* * *

Minęli Rozstaje truchtem, budząc zaciekawienie kilku przejeżdżających wozem chłopów. Kenneth wymownym gestem wskazał na swój płaszcz, odbierając im chęć do zadawania pytań. Zbliżał się wieczór. Do Belenden mieli stąd niespełna godzinę marszu i porucznik uznał, że dobrze będzie wejść do miasta po zmierzchu, żeby zbyt wiele ciekawskich oczu nie przypatrywało się ich więźniowi.

— Maaarsz!

Zwolnili. Oddział momentalnie skupił się wokół Velergorfa.

— I co było dalej? Słyszałem od ojca, że żaden z Siedemnastego nie wszedł na szczyt... — Wilk pozwolił sobie na nie regulaminowe pominięcie stopnia.

— Bo żaden nie wszedł. — Velergorf popatrzył gdzieś przed siebie, twarz mu spochmurniała. — Mieli wtedy już około pięćdziesięciu rannych, głównie od strzał i dzirytów, ale wszyscy zaklinali się, że mogą jeszcze walczyć. Coś w nich wtedy wstąpiło, mówię wam, bo patrzyłem im w oczy i widziałem tam tylko spokój. Nie strach, nie rozpacz i nie cholerną, głupią i butną odwagę, lecz spokój i wolę. Wiedzieli, że zginą, i wiedzieli, że swoją śmiercią kupują czas innym, więc akceptowali ją bez sprzeciwu. Widziałem, jak ci, którzy nie stali na barykadzie, śmieją się i żartują, jak łapią oddech, piją, jedzą, sprawdzają broń i pancerze. I wiedziałem, że następny atak też się o nich rozbije, bo ci, którzy nacierali, chociaż byli świetnymi wojownikami, nie mieli w sobie nawet krzty takiej determinacji. Koczownicy szli po łupy i jeńców, ale żeby cieszyć się jednym i drugim, musieli przeżyć bitwę. Wtedy zrozumiałem, co to znaczy być mieszkańcem Imperium i jak tym południowcom udało się je zbudować. Od tamtej chwili nie rozbiłem nikomu głowy, gdy nazwał mnie Meekhańczykiem. Co najwyżej rozkwasilem nos.

Uśmiechnął się kpiąco i zaraz spoważniał.

— To był pierwszy poważny atak, a po nim ruszyły następne. I miałem rację, rozbijały się jeden po drugim. Nigdy nie widziałem i pewnie nigdy nie zobaczę czegoś takiego, ci przekłeci piechociarze stali jak skała i cięli, rąbali, kłuli bez wytchnienia. Barykadę zbudowali wyjątkowo solidnie, obsypali wozy ze wszystkich stron ziemią, podparli drągami. Gdy skończyły im się oszczepy, rzucali kamieniami. Gdy jeden desperacki atak przedarł się wreszcie przez barykadę, prze-

szli do kontrataku, odbili ją i obsadzili na nowo. Pół dnia walczyli jak stado demonów, a my mogliśmy tylko stać i patrzeć, bo Darwen-lav-Glasdern, ten ich cholerny pułkownik, nie chciał się zgodzić, żebyśmy zeszli na dół, mimo że bełty skończyły nam się już dawno i też mogliśmy tylko rzucać z góry kamieniami.

Kenneth uśmiechnął się.

— Czarny Kapitan nie był zadowolony, co?

— Wystarczy, że powiem, że przez większość czasu szczyrzył zęby. Był gotów posłać do walki wszystkich ludzi, jakich miał, bo szeregi Siedemnastego topniały w oczach. W połowie dnia z ciężkiej piechoty na nogach stało jeszcze tylko około dwustu żołnierzy. Kuzników nieco powyżej setki, ale to nie miało znaczenia, bo bełty też im się kończyły. Nawet artylerzyści stracili kilkunastu ludzi. Teren na dwieście kroków za barykadą był tak naszpikowany strzałami, że człowiek brodził w nich jak w zbożu. A my w czterech kompaniach mieliśmy ledwo kilku łuczników, z których i tak nie było już pożytku, bo od ciągłego napinania łuków krwawiły im palce.

Dziesiątnik westchnął ciężko i umilkł. Tym razem nikt go nie poganiał.

— A uchodźcy nadal wspinali się na szczyt. Przez pół dnia, bez chwili przerwy, wchodzili i wchodzili. Rozmawiałem potem z wieloma ludźmi, którzy szli tą drogą. Mówili, że z góry wszystko było wyraźnie widać. Barykady, żołnierzy, niepoliconą armię u wrót doliny. I szturmę, jeden za drugim. Wiatr przynosił odgłosy bitwy na sam szczyt góry i ci, którzy już weszli na Łysicę, zatrzymywali się i patrzyli, i nawet żołnierze nie potrafili zmusić ich do odejścia, udawało się to dopiero kolejnym grupom uciekinierów. Podobno na drodze cisza była taka jak w kondukcje żałobnym. Nikt nie jęczał, nikt się nie skarżył. Po południu, gdy u stóp góry zostało już tylko kilka tysięcy ludzi, gdy zakończyła się rzeź

zwierząt, Se-kohlandczycy zdobyli wreszcie barykadę. Zdobyli ją tak, jak my pozbyliśmy się pierwszej. Ogniem.

* * *

Ten atak był inny niż pozostałe, co było już widać w sposobie, w jaki ruszyli. Nie osłaniali się ani tarczami, ani faszyną, bo od dłuższego czasu barykada nie witała nacierających salwami z kusz, a i stojące z tyłu maszyny strzelały wolniej, wyraźnie oszczędzając amunicję. Piesi wyłoniли się niemal wzdłuż całej linii atakującej armii, ale za to w zaledwie trzech szeregach. Tylko łucznicy. Zbliżyli się do barykady na sto kroków i stanęli, ścieśniając szyk. Trzy równe, oddzielone od siebie kilkoma krokami półokręgi. Między nich wbiegło kilkudziesięciu ludzi z pochodniami w dłoniach.

— Ogień — mruknął Kawer Monel. — Wreszcie na to wpadli.

Ognista linia pomknęła wzdłuż szeregów, napięły się łuki. Trzy jasne fale pomknęły w stronę barykady.

Lecąca zapalona strzała wydaje odgłos niepodobny do żadnego innego na świecie. Gdy leci kilka tysięcy takich strzał, brzmi to tak, jakby smok nabierał oddechu, zasysając powietrze paszczą, w której już buzuje płomień. Varhenn smoki uważał za stworzenia z legend, z mrocznych czasów Wojen Bogów, ale takie właśnie miał skojarzenie. Bestia przygotowująca się do spopielenia świata.

Uderzeniom grotów w drewno towarzyszył syk i trzask płomieni. W kilka chwil cała zewnętrzna ściana barykady zapłonęła. Tworzyły ją kupieckie wozy z grubych, dobrze wysuszonych i nasmołowanych desek, które miały być zabezpieczeniem przed deszczem i śniegiem. Ogień kocha takie drewno najbardziej na świecie.

Koczownicy nie zadowolili się jedną salwą, strzelali dalej, w barykadę i nad nią, jakby chcieli wypalić wszystko wokół. Po chwili zapłonęły drzewca strzał wbitych w ziemię, zajęły

się wozy tworzące ostatnią, wciąż nieukończoną barykadę, a kilka strzał dosięgło machin. Tarcze stojącej w rezerwie piechoty upstrzyły się płonącymi pociskami. Po chwili żołnierze, na niesłyszalny na górze rozkaz, zaczęli się cofać w stronę przejścia w ostatnim umocnieniu. Ci z barykady środkowej wytrzymali jeszcze chwilę i rzucili się do ucieczki. Ściany ich szańca płonęły już jak wewnątrz pieca, a cała konstrukcja syczała i trzeszczała pod stopami. Nie mogli nic więcej zrobić.

— Schodzimy. — Czarny Kapitan uśmiechnął się od ucha do ucha. — Wygląda na to, chłopcze, że jeszcze dziś będziesz miał okazję, żeby umoczyć żelazo we krwi.

Podniósł się na nogi.

— Na dół! Wszyscy na dół!!!

Prawie dwustu strażników rzuciło się do lin. Zjeżdżali na nich w tempie, jakie tylko Górska Straż potrafi osiągnąć. W mniej niż pięć minut obie kompanie znalazły się za wewnętrzną barykadą. Kawer Monel odszukał stojącego tyłem pułkownika.

— Będzie się palić pół godziny — zaczął bez żadnego wstępu — więc myślę...

Dowódca Siedemnastego odwrócił się i kapitan urwał w pół zdania. Varhenn cicho jęknął. Lewy oczodół Darwena-lav-Glasderna straszyl pustką, zapalona strzała musiała trafić go tuż poniżej krawędzi hełmu, gdy odwracał głowę w prawo. Strzaskała kość przy oczodole, przebiła gałkę i najpewniej poleciała dalej. Skóra na lewej stronie twarzy szczyrniała i pokryła się bąblami. Na ich widok pułkownik skrzywił się w strasznym półuśmiechu.

— To chyba ogranicza mój wybór narzeczonych do tych, które są ślepe od urodzenia — wychrypiał. — Ale przynajmniej nie będę mógł za bardzo wybrzydzać.

Czarny Kapitan stał bez ruchu, a potem młody goniec zamrugał zdumiony, wyprężył się na baczność i zasalutował.

— Kapitan Kawer Monel jest gotów do przejęcia dowodzenia — powiedział cicho.

Grymas pogłębił się, prawe oko błysnęło kpina.

— Mam oddać moich żołnierzy jakiemuś dziakiemu górłowi? Najpierw będziesz mnie musiał zabić.

Przez chwilę wydawało się, że kapitan będzie się spierał. Lecz tylko wzruszył ramionami.

— Musiałbym się ustawić na końcu bardzo długiej kolejki. Co teraz? Chyba powinniśmy przyłączyć się do zabawy tu na dole...

Pułkownik westchnął.

— A jak pan sądzi, kapitanie, dlaczego do tej pory kazałem wam się trzymać z daleka? Bo musimy mieć żołnierzy, którzy utrzymają drogę na górę. Jak się wszyscy damy tu pozabijać, Se-kohlandczycy mogą zdobyć Łysicę. A to znaczy, że wszystkie prowincje między Małym a Wielkim Grzbietem staną przed nimi otworem. Stracimy całą Północ, z kopalniami, hutami i warsztatami. Tu wytwarza się połowę stali Imperium, dwie trzecie broni. To będzie koniec wojny. Dlatego chcę, żeby pan i pańscy ludzie obsadzili drogę. Czterystu żołnierzy utrzyma ją bez trudu.

— Jeszcze wszyscy nie weszli na górę, zostało kilka tysięcy. Dwie, trzy godziny i...

Pułkownik przerwał mu, unosząc dłoń.

— Damy wam te dwie godziny. Dwie na pewno, więcej nie mogę obiecać, więc niech pan, kapitanie, pogoni resztę. Ci, którzy zostaną, sami będą sobie winni. Odmaszerować!

* * *

— Żartujesz — Kenneth wyszczerzył się szeroko. — A Czarny co, odwrócił się i odmaszerował?

Varhenn Velergorf nie odwzajemnił uśmiechu.

— Tak, panie poruczniku. Odwrócił się i odmaszerował. A ja razem z nim. Podobnie jak obie nasze kompanie. Taka

była rola Górskiej Straży w obronie doliny Wares – postrzelać trochę z kusz i wpędzić sześćdziesiąt tysięcy ludzi na Łysicę. A potem odwrócić się i odejść, bo ten cholerny piechociarz miał rację. Gdybyśmy dali się tam pozabijać, to kozownicy mogliby zdobyć wejście na szczyt. Banda przerażonych kupców, chłopów i garść szlachty na pewno by go nie obroniła. I, bogowie, ależ my się modliliśmy o to, żeby spróbowali go zdobyć. Gdy już było po wszystkim, staliśmy na szlaku, na zatorach z przewróconych wozów i pni drzew, i błagaliśmy Reagwyrę, Setrena czy innego bękarta, który mieni się Panem Bitew, żeby odebrał im rozum i pchnął do ataku. Ale oni...

— Wyprzedzasz. Opowiadaj po kolei.

— Dobrze, panie poruczniku. To, że szykują się na śmierć, zrozumiałem tak naprawdę w chwili, gdy zobaczyłem, jak artylerzyści rąbią swoje maszyny, oblewają je resztkami zapalającego płynu i podkładają ogień. A potem biorą tarcze i miecze po zabitych i dołączają do szeregu. W sumie, łącznie z resztką kompanii kuszników, zostało ich niespełna trzystu. I chyba żaden nie wyszedł z walki bez szwanku. Widziałem ich z bliska, porwane kolczugi, powgniatane hełmy, byle jak pozakładane opatrunki, przesiąknięte czerwienią bandażę, krew sącząca się z ran. Nie zważali na to. Tarcze piechoty były tak ponabijane grotami, że musiały ważyć dwa razy więcej niż zwykle. To też zdawało się im nie przeszkadzać. Gdy stawali naprzeciw dopalającej się barykady, mieli ogień i dumę w oczach. Możecie się śmiać, ale tak mówi mi pamięć. Duma i ogień. Góra zabitych po drugiej stronie dopalających się wozów sięgała niemal na wysokość wzrostu rosnącego mężczyzny, a przedpole było tak usłane ciałami ludzi i koni, że można było przejść po trupach dwieście jardów, zanim człowiek by postawił stopę na ziemi. W zagłębieniach i rowach wzdłuż drogi krew stała na głębokość stopy. Ziemia już nie chciała jej pić. I to była ich robota. Obronili wejście

do doliny, odpierali ataki całej armii i dali wszystkim czas. Nikt na ich miejscu nie zrobiłby więcej.

Umilkł, jakby nie wiedział, co powiedzieć.

— Nam na pewno by się to nie udało — stwierdził wreszcie cicho. — Nawet gdybyśmy mieli tam pułk w pełnym składzie, okrągłutki tysiąc ludzi, nie utrzymalibyśmy się przez niemal cały dzień. Nie do tego nas szkolono. A jeśli myślicie, że pokazali wtedy wszystko, na co ich stać, to się mylicie.

* * *

Przy wejściu na szlak zastali niespełna dwa tysiące ludzi. Ostatki z armii uchodźców, która znajdowała się w dolinie wczoraj rano. Porucznik Annawer Gyrwen, dowodzący Trzecią Kompanią, dał z siebie wszystko. Od jakiegoś czasu nie pozwalał nawet zabierać na górę niczego poza niewielkim tłumokiem i małym zapasem wody i żywności. Bezceremonialnie kazał zrzucić na ziemię przepełnione toboły, jeśli uznał, że ich ciężar spowolni marsz. Wyciskał z ludzi, co się dało, wszelkimi metodami, oprócz dźgania opornych mieczem.

Dowódcę przywitał krótkim salutem.

— Za dwie godziny wejdą ostatni z uciekinierów. Czy mamy się przygotować do obrony wejścia?

— Masz godzinę, żeby ich tam wpędzić. — Czarny Kapitan rozejrzał się po okolicy. — Potem wciągniecie na szlak tyle pustych wozów, ile się da, i na każdym zakręcie zbudujecie z nich barykadę. Od trzeciego w górę. Resztę wozów podciągniemy tutaj i podpalimy. Gdzie czarownik?

Baren-kla-Werdonell wyłonił się z tłumu. Szatę niemal do pasa miał zrudziałą od zaschniętej krwi, twarz jak maskę. Nawet nie mrugnął na ich widok.

— Reszta do nas nie dołączy, prawda?

— Skąd...

— Słyszę. Nuć *Jasną drogę*, to stara pieśń pochodząca z południa Imperium, którą żołnierze śpiewają, gdy idą na śmierć. Będą walczyć do końca.

— Czyli dość krótko — mruknął obojętnie kapitan, a Varrhenn prawie go w tej chwili zniecierzył. — Obiecali mi dwie godziny i lepiej, żeby ten sukinsyn dotrzymał słowa. Do tej pory nie użyłeś swojej mocy, mistrzu, mam rację?

To „mistrzu” zabrzmiało naprawdę obelżywie.

— Nie.

— Będziemy chcieli stworzyć tu zaporę z ognia, żeby konnica nie deptała nam po piętach, ale to musi się rozpaść szybko.

Czarodziej skinął głową.

— Pomogę.

Obie kompanie zaczęły ściągać porzucone wozy. Te, na których znajdowały się rzeczy łatwopalne, takie jak meble, żywność czy ubrania, przepychano razem z ładunkiem. Resztę opróżniano, przy okazji niszcząc wszystko, co mogło mieć dla najeźdźców jakąkolwiek wartość. W drobny mak szły bezcenne lustra, szkło, porcelana, wylewano beczki wina, rozbijano każdy drobiazg, którego byli właściciele nie mieli serca zniszczyć. Zgodnie z rozkazem, Se-kohlandczycy mieli zastać dolinę popiołów i trupów. Nim minęło pół godziny, przy wejściu na szlak zgromadzono około setki wozów.

— Barykada dopala się — powiedział czarodziej. — Zaraz nastąpi ostatni atak.

— Kto idzie?

— Brzęk kolczug, dużo żelaza. Końskie kopyta. Błyskawice. Chcą przebić się pierwszą szarżą.

Kapitan zmrużył powieki, próbując coś dojrzeć. Dym z dopalających się barykad i płonących machin przesłaniał widok.

— Varhenn! Na górę! Może tam będzie lepiej widać. Masz mi dać znać, jak przełamią obronę. Natychmiast.

Goniec ruszył bokiem, wspinając się na skałę. Tu było jeszcze niezbyt stromo, więc dość szybko dotarł na wysokość trzeciego zakrętu. Odwrócił się. Łagodny wiatr, sprzymierzeniec wszystkich obserwatorów, powiał właśnie w głąb doliny, rozpędzając dym, widział więc wyraźnie pierwszy atak. Około tysiąca pancernych, uformowanych w potężny klin, przelało się przez resztki pierwszej barykady, przefrunęło niemal nad pogorzeliiskiem pozostałym po drugiej i – pochylając lance, runęło na wąski szereg piechoty.

Linia wygięła się, jej środek został rozdarty, taka masa koni i jeźdźców to było już zbyt wiele dla żołnierzy, którzy walczyli cały dzień. Jeszcze chwila, mgnienie oka, a obrońcy rozpadną się na małe grupki i zostaną wycięci w pień. I wtedy – Velergorf miał zapamiętać ten widok do końca życia – klin stanął. Jego czoło zatrzymało się w miejscu jak ostrze wbijające się w blok smoły. Dalsze szeregi napały na pierwsze linie, ale spowodowały tylko ścisk i zamieszanie. Meekhańska piechota stała, napierana niewyobrażalną masą, kłuta i cięta, nie ustąpiła na krok. Wyrwę w środku formacji uzupełniono, szereg zwarł się, skupił. A potem... Ryk, który się rozległ, słychać było aż pod szczytem. I nagle oba skrzydła wąskiej linii piechoty ruszyły naprzód, szczepiły z zatrzymanym klinem i rozpoczęła się rzeź. Kontratakowali, ogarnięci niespodziewanym szalem, zabijając na równi konie i ludzi, a koczownicy, którzy spodziewali się łatwego zwycięstwa, przez kilka chwil po prostu ginęli.

Wewnątrz klina zapanował taki ścisk, że jeźdźcy nie mogli używać swoich ulubionych lanc, pozostały im więc tylko szable i topory. A w walce na krótki dystans meekhańska piechota była niezrównana. Przez kilka minut zablokowany oddział szarpał się w miejscu, walcząc i umierając w starciu z przeciwnikiem, który nie bał się śmierci, i nagle... tylne

szeregi zadrżały, przebiegła przez nie dziwna fala i rzuciły się do tyłu. Uciekali, odrywając się całymi grupami, porzucając rannych i umierających towarzyszy, niezdolni stawić czoła bandzie szaleńców. Tylko ostatni oddział, cienka linia koni i jeźdźców, nie miał na to szans, nagle jego szyk przemieszał się z atakującą piechotą, zwierzęta i ludzie padały na zakrwawioną ziemię, ostatnich kilku napastników ściągnięto z siodeł i zabito.

I zapadła cisza.

Varhenn przetarł oczy, nie mogąc uwierzyć, jak niewielu żołnierzy stało jeszcze na nogach. Sttu, może sttu dwudziestu. Po chwili jeszcze kilku podniosło się chwiejnie z ziemi i dołączyło do wąziutkiego już szeregu. Wyrównali go i złączyli tarcze. Przed nimi rozbity oddział Jeźdźców Burzy galopował w stronę własnych linii. Resztki Siedemnastego zajęły pozycje przy wejściu do doliny i zamknęły je ścianą pawęży. Pojedynczym szeregiem. Nie mieli najmniejszych szans, żeby przetrzymać następną szarżę.

A następny atak już się rozpętał. Większość Jeźdźców Burzy zawróciła konie i ruszyła z powrotem. W końcu byli gwardią Ojca Wojny i też mieli swoją dumę. Kilkuset konnych runęło na niedobitki meekhańskiej piechoty.

I nagle, na niesłyszalny rozkaz, linia obrońców zwinęła się na skrzydłach i zanim konnica zbliżyła się na odległość kilkudziesięciu jardów, w wejściu stanął obronny okrag. Około sześćdziesięciu ciężkozbrojnych na zewnątrz, reszta w środku. Pancerne koło. Jazda z wyciem runęła na Meekhańczyków i owinęła się wokół ich formacji. Lance uderzały, szukając szczeliny w murze tarcz, szable i topory waliły po hełmach, konie wierzgały kopytami, próbując wdrzeć się do środka. Po chwili popiół i sadza podniesione z ziemi przesłoniły widok. Varhenn nie czekał na kolejny podmuch wiatru, lecz na łeb na szyję zbiegł do kapitana.

— Ile jeszcze? — zapytał Czarny, lecz wystarczył mu tylko rzut oka na twarz gońca. — Koniec! Przebili się! Wszyscy na górę!

Resztki uciekinierów wpadły na szlak i cała kolumna, co wydawało się jeszcze przed chwilą niemożliwe, przyspieszyła. Wszyscy strażnicy szykowali broń.

A szczeń stali uderzającej o stal, ryki ludzi, kwiki koni, nie ustawały nawet na chwilę.

Żołnierze zamarli, wpatrując się z napięciem na chmurę kurzu wypełniającą wejście do doliny. Lada moment spodziewali się zobaczyć wyłaniający się z niej las sekohlandzkich lanc. Przed wejściem na szlak zbudowano już wielki stos z wozów, mebli, żywności i ubrań, wszystkiego, czego uchodźcy nie mogli zabrać ze sobą na górę. Kilku żołnierzy czekało przy nim z pochodniami w rękach. Podpalony, miał dać im jeszcze trochę czasu, odgradzając od pościgu.

A szczeń stali uderzającej o stal nie cichł i od strony wejścia zamiast radosnych okrzyków zwycięzców dochodziły jęki, nieartykułowane wrzaski, świdrujące uszy rzenie koni.

Varhenn obejrzał się na szlak. Koniec kolumny dotarł już do połowy pierwszego podejścia. Za idącymi podążało kilku żołnierzy, których zadaniem było utrzymanie odpowiedniego tempa.

A szczeń stali uderzającej o stal zdawał się przybierać na sile, był coraz szybszy i szybszy, aż złał się w przeciągły dźwięk, zagłuszając wszystko, wrzaski ludzi, wizg zwierząt, łoskot kopyt.

I nagle przebił go jeden wielki krzyk strachu, podszytego wściekłością i gniewem. A potem odgłos żelaza ucichł, zastąpiony przez setki uderzających o ziemię kopyt.

Lecz z chmury kurzu nie wyłoniły się szeregi jazdy.

Chwilę trwało, zanim ktoś się odezwał.

— Odparli ich — w głosie czarodzieja słyhać było coś więcej niż tylko zdumienie. — Łaskawa Pani, Opiekunko Dzielných, Błyskawice uciekają. Kim są ci żołnierze?

— Cholernymi durniami — wychrypiał Czarny Kapitan i splunął na ziemię. — Niczym więcej.

Żołnierze poruszyli się, jakby zdjęto z nich czar. Kilku spojrzęło na swojego dowódcę, wykrzywiając twarze. Zapęnowała cisza.

— Niech pan się zamknie, kapitanie. — Varhenn przerwał ją, dziwiąc się własnemu spokojowi, dziwiąc odwadze i temu, że ręce, zaciśnięte trzonku topora, już mu nie drżały. — Oni zostali tam, a my jesteśmy tutaj, oni są martwi, a my żyjemy, i nic więcej nie da się powiedzieć. Więc gdy ostatni z nich padnie, podpalmy ten stos i chodźmy na górę.

* * *

— W to nie uwierzę.

— W co, panie poruczniku?

Kenneth uśmiechnął się nieznacznie, rozglądnał na boki. Zbliźali się do Belenden, za kilka chwil mieli minąć zejście z Łysicy i kilka olbrzymich stosów, usypanych u jej podnóża. Hawen Rycw od kilku minut podrzucał w rękę znaleziony w strumieniu kamień. Szpieg wyglądał za to, jakby pogodził się z losem, szedł szybko, z głową pochyloną tak, że włosy zasłaniały mu twarz. Milczał.

— No, dobra, uwierzę, że bronili się przez większość dnia, uwierzę, że ośmiuset ludzi zatrzymało trzydziesto-, nie, nawet czterdziestotysięczną armię. Uwierzę, że wpędziliście na górę sześćdziesiąt tysięcy uchodźców i uwierzę nawet w to, że odparli dwie szarże Błyskawic, stojąc tylko za murem z tarcz, rozumiesz?

Velergorf zmierzył go wzrokiem.

— Bo to wszystko prawda.

— Oczywiście. Ale w to, że kazałeś się zamknąć Czarnemu Kapitanowi i przeżyłeś, nie uwierzę w żadnym wypadku.

Najbliżsi strażnicy pokiwali zgodnie głowami.

— Ha, wtedy byłem młody — dziesiętnik uśmiechnął się złośliwie — i nie nauczyłem się jeszcze okłamywać oficerów.

— He, he, dobre. Co było dalej?

— Dalej nie było już nic, panie poruczniku. — Uśmiech znikł. — Wystrzelali ich. Kilkuset konnych łuczników wreszcie otoczyło piechotę i zaczęło szyc z łuków. Strzelali tak długo, aż ostatni z żołnierzy padł. A potem ruszyli w stronę wejścia na szlak. Ale koniec kolumny uchodźców mijał już drugi zakręt, a my kończyliśmy ustawiać zaporę na pierwszym. Gdy koczownicy zbliżyli się do początku drogi, podpaliśmy zgromadzone tam wozy. Czarownik dobrze się spisał, przywołał wiatr, który w kilka chwil rozdmuchał ogień tak, że płomień sięgał trzydzieści stóp w górę. Konni nawet nie próbowali atakować. I to był koniec bitwy o dolinę Wares. Jak już mówiłem, Se-kohlandczycy nawet nie próbowali wjechać na górę, chociaż modliliśmy się, żeby bogowie odebrali im rozum. Nie zdobyli tam niczego, ani jednego niewolnika, ani jednego zwierzęcia, nic z dóbr, które obiecywali sobie zagrabić. Podobno u wejścia do doliny zostawili trzy tysiące zabitych, a mieli dwa razy tyle rannych. Do czasu bitwy o Wielką Bramę nie ponieśli na Północy większej klęski.

— A przy Wielkiej Bramie też byłeś?

— Tak, panie poruczniku. Ale to inna historia.

Velergorf odwrócił się do młodego strażnika, który właśnie układał swój otoczek na najbliższym mijanym stosie kamieni.

— Hawen, pospiesz się z tym, nie będziemy tu czekać całą noc. Pytał pan, czemu Wilk uważa się za Meekhańczyka? My wszyscy też, mniej lub bardziej, za nich się uważamy. Nie za tych miękkich, rozmemłanych południowców — uśmiechnął się z łagodną kpina — ale za obywateli Impe-

rium. Gdy odbudowano Siedemnasty Pułk Piechoty, zaciągnęli się do niego prawie sami Wessyrczycy. Wiemy, jak należy spłacać swoje długi. Pytał pan też, skąd ta tradycja. To podobno był pomysł porucznika Kawacra, tego samego, który dostał rozkaz liczenia uchodźców. Nie miał czasu liczyć ich na górze, szlak wypływał wciąż nowych na szczyt, więc rozkazał, żeby każdy zabrał ze sobą kamień i zostawił go po drugiej stronie szczytu, u zejścia z góry. Potem zamierzano policzyć te kamienie. To stary, sprawdzony sposób. I podobno jeden z chłopów z Maawah albo Kaless miał żonę w ciąży, i położył na stosie trzy kamienie, za siebie, żonę i nienarodzone dziecko, przysięgając głośno, że za każde następne też dołoży jeden, dla pamięci żołnierzy z Siedemnastego. I ludziom się spodobało. Wielu z tych, którzy przeszli wtedy przez Łysicę, nie wróciło już na południe. Nie mieli dokąd. Zostali tu, założyli rodziny, dochowali się dzieci, a teraz i wnuków. I wciąż przychodzą tu dołożyć kamień w imię tych, którzy narodzili się, bo ośmuset żołnierzy, zamiast wejść na górę, zostało, by bronić doliny. Zresztą słyszałem, że ci, co wrócili za Mały Grzbiet, także przychodzą tutaj z kamieniem, na którym wypisują imię nowo narodzonego dziecka. A jak sami nie mogą, to płacą jakiś grosz jadącym kupcom, żeby taki kamień tu zostawili. Ot, cała nasza tradycja, zamiast pomników – kupa kamieni.

Kenneth pokiwał głową.

— I pamięć, Varhenn. I pamięć.

— Tak, panie poruczniku. I pamięć.

Przed nimi, z cieni wieczoru, wyłoniły się mury miasta.

* * *

Szpiega odprowadzono do lochów natychmiast po tym, jak tylko dowódca Szóstej Kompanii złożył raport. Zamknięto go w pojedynczej celi, z wąską pryczą, jednym trójnogim taborettem i kubłem na nieczystości. Więźniowie przed prze-

słuchaniami mogli liczyć na takie luksusy. Mężczyzna, gdy wszedł do celi, usiadł na taborecie, pochylił głowę, znieruchomiał. Czekał.

Zgrzytnęła zasuwa drzwi. Przybyły był wysokim i szczupłym, niemal wychudzonym mężczyzną. Skórę miał białą jak dobrze wygotowane płótno.

— No i proszę — zaczął od progu. — Ogar w klatce. Złapano tam, gdzie nie powinno go być, przez głupotę i nieuwagę.

— I nerwowego muła, dodaj. — Więzień podniósł głowę i posłał przybyłemu kpiący uśmiech. — Choć muszę przyznać, Gelgorfe, że ci żołnierze cholernie mnie zaskoczyli. Dziewięciu na dziesięciu pomogłoby mi pozbierać mapy i posłało w drogę z błogosławieństwem.

— A ty trafiłeś na takiego oficera, który szybko myśli...?

— Ale dzięki temu dowiedziałem się, jakie nastroje panują wśród Wessyrzyków, co, he, he, trochę poprawiło mi humor.

— Co robiłeś na terenie Imperium?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Szpiegowałem, a co innego.

— Wy, Ogary, macie węszyć poza domem. Domu pilnujemy my.

— Oczywiście. I to jest nasz odwieczny problem, Szczurze. Wy pilnujecie domu, my jego okolic, a nikt nie strzeże samych granic... Udało mi się wejść do służby Jego Świątobliwości Xagenna Lawennera i uzyskać informację o kilku jego agentach na terenie Imperium. Miałem z nimi nawiązać kontakt i — zawiesił głos — myślę, że jeszcze nic straconego.

— Lawenner? Henwerczycy? O tym, że ma tu szpiegów wiemy, ale...

— Nie.

— Co „nie”?

— Nie przekażę ci ich nazwisk. Trzy lata trwało, zanim mi zaufali w takim stopniu, żeby powierzyć prostą misję. Jak dostaniesz ich nazwiska, prędzej czy później trafią do celi, a to będzie mój koniec jako szpiega. Muszę do nich dotrzeć sam i przekazać odpowiednie hasła. Potem będę mógł wrócić do Lawennera.

Chudzielec przekrzywił głowę.

— I jak sobie to wyobrażasz? Twoją twarz widziało mnóstwo ludzi.

— Tylko ci żołnierze. Specjalnie szedłem najwolniej, jak się dało, żebyśmy do miasta dotarli o zmierzchu. Miałem pochyloną głowę, kulilem się i słaiałem. Jeśli ten oddział zniknie na trochę z prowincji, nie będzie nikogo, kto rozpozna we mnie szpiega schwytanego w gospodzie. Użyj swoich wpływów, żeby wysłać ich gdzieś, gdzie nie będą mogli na mnie wpaść. Tyle mi wystarczy.

— A dlaczego właściwie — uśmiech przepytującego był ostry jak brzytwa — miałbym wyświadczyć ci tę przysługę?

— Bo obaj służyliśmy Imperium, Szczurze. I powiem ci wtedy, jaką wiadomość miałem przekazać henwerskim szpiegom.

— Zapewne zwali mnie ona z nóg?

Więzień spojrzał takim wzrokiem, że uśmiech znikł.

— Wywiad Lawennera szuka młodej dziewczyny. Piętnaście, szesnaście lat, czarne włosy, niebieskie oczy. Wokół niej mają działać się dziwne rzeczy. Naprawdę dziwne. — Szpieg spojrzał na niego poważnie. — Pobladłeś, Szczurze. Więc to prawda, wy też jej szukacie. A zatem rozwiąż mnie i pozwól działać. Bo my tu będziemy się kłócić, a ją znajdzie ktoś inny.

Były więzień wstał z taboretu.

— Miło cię znów spotkać, Gelrgorfe.



powergraph

powergraph.pl
sklep.powergraph.pl